

PISZĄ I OPOWIADAJĄ DLA NAS:

• Katarzyna Puzyńska o swoich książkach i pozycji polskiego kryminału • Marek Borowski o tym, co znaczy być marszałkiem • Kinga Jakubowska z Legalnej Kultury o piractwie i plagiacie

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



ma
ga
zyn **POLSKA**
Puls
METROPOLIA WARSZAWSKA

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

FOT. SYLWIA DĄBROWA



Piątek-niedziela, 14-16.11.2025
Nr 91 (2498) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

s. 10
**Wojna totalna
na linii prezydent
– rząd znacznie
eskaluje**

s. 16
**Depresja nie jest
lenistwem.
Najbardziej rani
jej unieważnianie**

s. 6–7
*Po rezygnacji Szymona Hołowni – zgodnie z umową koalicyjną
– to polityk Lewicy ma zostać nowym marszałkiem Sejmu*

Trampolina dla Czarzastego?

REKLAMA

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
Partnerem głównym wydarzenia jest
Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego
REGION – GOSPODARZ
KUJAWY
POMORZE
energacamerimage.pl

MIASTO – GOSPODARZ
MIASTO
TORUŃ
WSPÓŁORGANIZATOR
I GŁÓWNY PATRON MEDIALNY
TVP
KULTURA
www.visitTorun.com

SPONSOR
STRATEGICZNY
Energa
GRUPA ORLEN

TELEMAGAZYN zaprasza na 33. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY
EnergaCAMERIMAGE
organizatorzy: Fundacja Tumult
oraz Europejskie Centrum Filmowe Camerimage
TORUŃ, KUJAWY POMORZE, 15–22.11.2025
f camerimage @ camerimage.festival X CamerimageFest d camerimage_fest

W poniedziałek magazyn

● Tomasz Ziętek o roli w nowym serialu TVP „Czarna śmierć” o epidemii ospy prawdziwej we Wrocławiu w latach 60.

Leszek Waligóra
publicysta



W SZYJĘ DAWANIE I PSIECKO

Uwielbiam. Uwielbiam te nasze wojenki. Uwielbiam baby wkurzone tym, że jakiś pajac wywiesił transparent mówiący, że „kotki i psiecka nie zastąpią ci dziecka”. Uwielbiam oburzenie, gdy Tusk, już w łagodniejszym tonie, powiedział, że kobiety dziś nie mają dzieci z wyboru, bo wybierają łatwiejsze życie. Uwielbiam to, że dostanę sążnisty list, jak śmiałem napisać słowo „baby”. A najbardziej uwielbiam to, że w naszym pięknym kraju możemy pokłócić się o wszystko. Raj dla dziennikarza, zawsze jest o czym pisać. Choć w sumie, to właśnie tak kończy się dziennikarstwo. Gdy zamiast wyjaśniać, czepiamy się słówek. Ale przykład idzie z góry, więc co się dziwić nam, dołowi.

Dziś piszemy o problemie, którym kiedyś Jarosław Kaczyński próbował wytłumaczyć niską dzietność Polak: o dawaniu w szyję. A raczej niedawaniu, bo coraz więcej miast wprowadza nocną prohibicję, która jakoś nie odbija się nam masowym wzrostem przestępczości jak w USA z początku minionego wieku. Ale może też dlatego, że dziś mamy większą świadomość i nawet dziecko wie, że alkohol szkodzi. Wie to też Jarosław Kaczyński, choć wypowiadając kultowe już słowa o dawaniu w szyję wypłynął na głębiny hipokryzji. Nie tylko dlatego, że sam kiedyś mówił jaki alkohol lubi, nie tylko dlatego, że sam nie ma dzieci i nie tylko dlatego, że również do niego mógłby być kierowany baner z warszawskiego marszu niepodległości, o kotkach i psieckach.

Otóż, Jarosław Kaczyński, jak wielu Polaków, zapomniał, że do tanga trzeba dwojga. Ale nie chodzi, wbrew pozorom, o sam fakt poczęcia, bo do takiego tańca to owszem, trzeba dwojga, na dodatek dwóch płci, choć żadna z nich nie potrzebuje do tego nawet rozumu. Sęk w tym, że to, co się z takiego poczęcia „wykluje”, potrzebuje dwojga rodziców. I tu już nie trzeba wchodzić w rozróżnienie płciowe, bo stare przysłowie mówi, że większość dzieci w Polsce wychowały pary jednopłciowe. Mama i babcia.

A gdzie były wówczas chłopcy? A gdzie są współczesne chłopcy?

To nie jest problem jednej płci, statusu materialnego, czy odpowiedzialności. Problem nie sprowadza się tylko do wyborów lub niechęci do podejmowania odpowiedzialności. I nie chodzi tylko o to, że współczesny mężczyzna w wieku reprodukcyjnym dźwiga na barkach, i to z trudem, mniej niż dawniej nastolatek. Bo nie jeden ma więcej. I każdy ma inny powód do nieposiadania dzieci.

A politykom, zanim zaczną oceniać innych za to, czy mają, czy nie mają dzieci i dociekać dlaczego, radzę spojrzeć na mapę dzietności świata. Wiecie, gdzie jest ona największa? W Nigrze. Na pewno chcemy się na nim wzorować?

GUSTA KULINARNE, CZYLI POŻERACZE HOT DOGÓW

Wszyscy znają łacińskie powiedzenie „De gustibus non est disputandum” które - bardzo słusznie - uważa się za wezwanie do zaniechanie dyskusji na dowolny temat, gdy obszar dyskusji wykracza poza obszar ocen konkretnych znanych faktów i racjonalnych argumentów i wkracza w dziedzinę subiektywnych opinii, które każdy z dyskutujących może mieć odmienne i nie zamierza ich zmieniać. Jednak ja jako twardo kształcony w liceum w zakresie łaciny wiem, że łacińskie słowo gustus oznacza głównie smak.

No więc dzisiaj będzie o smakach. Moich smakach. O tym, co lubię.

Nie zamierzam Państwa namawiać, żebyście mnie naśladowali, bo moje gusta są zdecydowanie niewyrzafinowane, chociaż z racji pełnienia różnych ważnych funkcji zdarzało mi się uczestniczyć w bardzo wysublimowanych w treści i w formie oficjalnych biesiadach. Zresztą ja już raz za te prostackie gusty kulinarne zostałem srodze ukarany. Otóż

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



w dniu 28.07.2024 opublikowałem artykuł „Jak jeść tanio i smacznie na wakacjach?”.

Ale byli też tacy, których ten tekst oburzył! W szczególności dotyczyło to pana, który wcześniej na drugi dzień po każdorazowym wydaniu mojego felietonu w gazetach - udostępniał mój tekst także na stronie internetowej aktualności AGH. Otóż ów pan po wydrukowaniu w gazetach mojego felietonu o wyżej podanym tytule - odmówił jego wystawienia na stronie AGH, bo przyznałem się w tym tekście do tego, że lubię podczas wyjazdów zakupić błyskawiczne. Zupki takie kupuje się w torebkach w każdym sklepie spożywczym. Złożone są one z bardzo cienkiego makaronu wynalezione przez Japończyka Momofuku Andu i dodatku smakowego w postaci torebki czegoś, co się nazywa Soup Base i co wolę nie wie-

dzieć, czym jest. Taki makaron ze smakowym dodatkiem trzeba zalać wrzątkiem w kubku, poczekać kilka minut i już można jeść. Oczywiście nie można tak się odżywiać długo, bo to niezdrowe, ale awaryjnie w czasach gdy wyjeżdżałem na konferencje naukowe do różnych odległych krajów, ratowało mnie przed koniecznością wydawania „cennych dewiz”, których na takie naukowe delegacje dostawało się bardzo mało.

Dzisiaj chcę się przyznać do jeszcze jednej potrawy, którą bardzo lubię i zjadam ze smakiem także w Polsce. To hot dog (gorący pieś?). Każdy chyba wie - gorącą podłużną bułką z otworem, do którego wkłada się gorącą kielbaskę i sos o wybranym smaku. Uwielbiam!

Przeczytałem o historii powstania tego przysmaku.

W 1478 roku w Frankfurcie nad Menem wynaleziono cien-

kie kielbaski nazwane frankfurterkami. Ale początkowo była to po prostu jeszcze jedna wędlina - i tyle. Potem około 1600 roku niemiecki wędliniarz Johann Georghehner wymyślił parówki wkładane do bułki, które nazwał Dachshund, czyli jamnik. Ale Niemcy tych jamników nie pokochali. Poznali się natomiast na nich Amerykanie, których możliwość zjedzenia czegoś smacznego i pożywne dosłownie w biegu dosłownie zachwyciła. Podobno pierwszą budkę z tymi gorącymi parówkami w bułce otworzył niemiecki imigrant Charles Feltman. Budkę postawił na Coney Island, gdzie mieszkańcy Brooklynu chętnie wypoczywali na plaży lub ma nadbrzeżu z widokiem na Manhattan - ale chętnie coś przy tym przegryźli.

Więc Feltman wyszedł im naprzeciw i w ciągu pierwszego roku sprzedał 3684 hot dogi. Uznał to za sukces!

Ale czymże jest ta liczba wobec obecnych „pożeraczy hot dogów”?

W Polsce zjadamy je na stacjach benzynowych (Orlen sprzedał w 2022 roku 58 mln hot dogów), w Żabce (74 mln w 2022 roku), a także w wielu innych miejscach - i spożycie to stale rośnie. Zatem ja z moim upodobaniem do tej przekąski nie jestem jakimś szczególnym wyjątkiem!

WOLNOŚĆ SŁOWA ZAWSZE DOBRA?

Kogo jeszcze obchodzi prawda? - pyta Dawid Myśliwiec na kanale „Uwaga! Naukowy bełkot” (You Tube), gdzie od 10 lat w rzeczowy, nienapastliwy sposób rozprawia się z wątpliwymi pomysłami. Do tak dramatycznego postawienia sprawy skłoniła go dyskusja wokół rozmowy Bogdana Rymanowskiego z prof. Grażyną Cichosz. Przypomnę tylko, że rozmówczyni dziennikarza wygłosiła opinię, które mocno zbulwersowały ekspertów zajmujących się żywnością. W odpowiedzi na krytykę Rymanowski wciągnął na sztandar hasło obrony wolności słowa, a jego zwolennicy skrzyknęli się wokół idei walki z cenzurą. Na moje oko to komedia pomyłek.

Janusz Michalczyk
publicysta



Styl prowadzenia w mediach rozmowy, umożliwiający nieskrępowaną, swobodną wypowiedź upowszechnił u nas ponad 30 lat temu Andrzej Woyciechowski w programie „Na każdy temat” (telewizja Polsat), jego kontynuatorem był Mariusz Szczygiel. To była pogoń za sensacją, ale chodziło też o przełamywanie różnych społecznych tabu. Pomysł polegał na tym, żeby stworzyć przyjazną atmosferę, dzięki której goście bez obaw mogli

wygłaszać szokujące opinie. Prowadzący przyjmował z pełną powagą najbardziej dziwne poglądy, zaś jego taktykę można opisać tak: okazywać zdziwienie i wątpliwości w taki sposób, by zachować wrażenie akceptacji. Metoda była świetna, bo gość nakręcał się coraz bardziej i zazwyczaj sam siebie obnażał, z czego widz miał wielką uciechę.

Formuła swobodnej rozmowy do dziś jest żywa, choć szybciej spotkamy się z nią w internecie niż telewizji czy

radiu, gdzie programy ogranicza limit czasowy (tzw. ramówka). Wykorzystuje tę okoliczność m.in. Rymanowski, zapraszając na swój kanał również osoby głoszące zaskakujące, a nawet skrajne przekonania. Niespieszna pogawędka w przyjacielskim tonie przynosi niekiedy zaskakujące rezultaty, bo widz dowiaduje się czegoś, o czym nie miał zielonego pojęcia. Nawet gdy się nie zgadza, to ma okazję przemysleć swoje argumenty.

Mam jednak dwa zastrzeżenia. Metoda często zawodzi w przypadku cynicznych do szpiku kości i wygadanych demagogów. Na pewno jest ryzykowna, gdy umożliwia głoszenie poglądów szkodliwych dla zdrowia. Dlatego podzielam niepokój Myśliwca...

Z CZEGO JUTRO...? MARSKOŚĆ POLITYCZNEJ SZTUKI AKCEPTACJI TRWANIA PUSTYNNIENIA ZDROWOTNEGO POLSKI

W roku 1991 po raz pierwszy w czasopiśmie „ACP Journal Club”

w tytule artykułu zostało użyte sformułowanie „evidence-based medicine”, czyli medycyna oparta na dowodach. Rok później w „The Journal of the American Medical Association” grupa naukowców z McMaster University publikuje przełomowy artykuł zatytułowany „Evidence-based medicine. A new approach to teaching the practice of medicine” – „Medycyna oparta na dowodach. Nowe podejście do nauczania praktyki medycznej” uważany za manifest i akt założycielski EBM Evidence-Based Medicine ruchu w medycynie klinicznej. W oparciu na dowodach medycynie tychże dostarczają wyniki badań eksperymentalnych oraz badań obserwacyjnych dla uzyskania wiarygodnych dowodów naukowych dotyczących skuteczności i bezpieczeństwa terapii.

Podobnie jest z dowodami na skuteczność lub jej brak w systemach publicznych usług medycznych. Postępująca od dekad zapaść w publicznej służbie zdrowia jak dotąd nie skłoniła kolejnych ekip rządzących w Polsce do sięgnięcia i skopiowania sprawdzonych, a wręcz modelowych już działających rozwiązań jak chociażby w Danii. W państwie tym podobnie jak i w naszym zauważalnie starzejące się społeczeństwo wymagało zmiany dotychczasowego paradygmatu publicznych usług medycznych, bowiem narastająco zwiększała się liczba pacjentów z chorobami przewlekłymi. W Danii reorganizację systemu wymusiło nie tylko starzejące się społeczeństwo, ale też coraz bardziej dotkliwy niedobór lekarzy specjalistów i pielęgniarek, rosnące koszty nowoczesnych terapii oraz nierówności w dostępie mieszkańców obszarów wiejskich do specjalistów. Czy w Polsce sytuacja nie jest na tyle podobna, aby nie skopiować duńskich rozwiązań i nie skorzystać z ich doświadczeń, zwłaszcza że ostatnie dwa rządy za swój „historyczny” sukces ogłosiły skopiowanie tzw. estońskiego CIT-u?

Na przełomie wieku XX i XXI rozpoczęto w Danii konsekwentną modernizację systemu, który zdecentralizowano. Odpowiedzialność za opiekę zdrowotną spoczywa głównie na pięciu regionach samorządowych, które zarządzają szpitalami publicznymi, prowadzą opiekę specjalistyczną i finansują leczenie w szpitalach prywatnych, jeśli

Andrzej Sadowski

Centrum im. Adama Smitha



te wykonują usługi na zlecenie publicznego płatnika.

Od samego początku transformacji systemu zdrowia prowadzono jego cyfryzację, która stała się krwiobiegiem tegoż systemu, umożliwiając jeszcze przed zarządzoną pandemią rozwój telemedycyny i standardu zdalnych konsultacji. Przeprowadzono konsolidację szpitali, zamykając małe oraz koncentrację na wysokospecjalistycznej opiece. Powstały duże, nowoczesne szpitale uniwersyteckie, które skupiają się na skomplikowanych procedurach, podczas gdy mniejsze jednostki zajmują się opieką podstawową i planowymi zabiegami. Zmiana ta spowodowała skrócenie kolejek, zwiększenie efektywności i poprawę jakości. Przeprowadzono też zmianę dotychczasowego paradygmatu, który trwa w najlepsze w Polsce, bowiem przeniesiono punktu ciężkości z leczenia na profilaktykę i opiekę długoterminową. Podstawą jest opieka podstawowa i środowiskowa z lekarzem rodzinnym jako „trenerem zdrowia” wraz z programami aktywizującymi zdrowy tryb życia, aby zmniejszyć zachorowalność na choroby cywilizacyjne. Finansowanie systemu opiera się na zasadzie „Money Follows the Patient”, czyli pieniądze podążają za pacjentem.

System na tej zasadzie zaproponowało Centrum im. Adama Smitha i Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy 17 lipca 2007, kiedy przedstawiono jego założenia w projekcie „Służba Zdrowia Kierowana Przez Pacjenta”. Zmiana paradygmatu polegała podobnie jak w Danii, gdzie rząd centralny w Kopenhadze określa strategię ogólnopństwową i przydziela fundusze, pozostawiając samorządom swobodę w ich wydatkowaniu, na zmianie funkcji państwa z organizatora służby zdrowia, co ewidentnie przez dekady czyni nieudolnie i nieskutecznie, na wyłącznie finansującego opiekę zdrowotną. Proponowana wówczas prywatyzacja świadczenia usług medycznych realnie dokonała się w Polsce, bowiem 82 proc. podmiotów leczniczych według formy własności w podstawowej opiece zdrowotnej POZ oraz ambulatoryjnej opiece specjalistycznej AOS jest prywatnych, które utrzy-

mują się z umów z NFZ oraz płatnych wizyt lekarskich i pakietów medycznych. Konieczne w roku 2007 i dziś jest wprowadzenie konkurencji pomiędzy zakładami opieki zdrowotnej, co spowoduje, że

służba zdrowia w Polsce będzie kierowana przez pacjenta, a nie urzędników.

Według profesora Wojciecha Misińskiego z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu i eksperta Centrum im. Adama Smitha w obecnym systemie „wszystkie uczestniczące w nim podmioty, tj. NFZ, świadczeniodawcy i pacjenci marnotrawią środki finansowe powodując ok. 20-30 proc. nieuzasadnionych kosztów

i niedoborów świadczeń zdrowotnych. Dodatkowo pogłębia to brak standaryzacji medycznej i kosztowej”. Z tego wynikałoby, że nie ma konieczności dalszego podnoszenia tzw. składki zdrowotnej, która jest de facto podatkiem, ale od zdrowia, a jej wyłączenie podwyższanie jest zamiast wprowadzenia zmiany systemu.

Zatrzymanie postępującego pustynienia zdrowotnego

Polski wymaga zmiany na system Powszechnych Ubezpieczeń Zdrowotnych, który będzie syntezą solidaryzmu i wolnego wyboru obywatela jako ubezpieczonego i pacjenta.

Andrzej Sadowski
– założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku działającego od 16 września 1989 r.

REKLAMA

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

**PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI**

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE

Szymon Marciniak

SkyTwin

Pierwsza roleta zewnętrzna zintegrowana ze screenem

www.aluprof.com/dom

GRAMY FAIR z NATURA

0011427611

Gigantyczna afera korupcyjna zaszkodzi Ukrainie

Ukraina w szoku po tym, jak ujawniono aferę korupcyjną, w którą zamieszani są wysocy rangą urzędnicy i biznesmeni z obozu prezydenckiego

Grzegorz Kuczyński

Skala i charakter afery zaszkodzi pomocy zachodniej dla Ukrainy i osłabi morale społeczeństwa od blisko czterech lat zmagającego się z trudami wojny.

Afera z Enerhoatomem w centrum

Na początku tego tygodnia ukraińskie organy antykorupcyjne poinformowały o zdemaskowaniu „organizacji przestępczej na wysokim poziomie”, która działała w sektorze energetycznym kraju.

Podejrzani – biznesmeni, menedżerowie i urzędnicy – brali miliony dolarów „prowizji” od kontraktów zewnętrznych podmiotów z Enerhoatomem. Później pieniądze były prane poprzez „biuro księgowe” znajdujące się w lokalu należącym do rodziny byłego ukraińskiego deputowanego, który zdradził i dziś zasiada w rosyjskim parlamencie.

W Narodowym Biurze Antykorupcyjnym (NABU) twierdzą, że w trakcie czynności śledczych „w różnych sytuacjach” zarejestrowano czterech członków ukraińskiego rządu. Jednak chyba najważniejsze jest to, że jako szefa zdemaskowanej grupy NABU wskazuje biznesmena Timura Mindicza, przyjaciela prezydenta Wołodymyra Zełenskigo.

Schemat Szlaban

Według prokuratorów Mindicz ze współnikiem, Ołeksandrem Cukermanem stworzyli system, który pozwalał otrzymywać „prowizję” od transakcji dokonywanych przez Enerhoatom, państwowego operatora wszystkich ukraińskich elektrowni atomowych. Jak działał schemat nazywany Szlabanem?

Kontrahent Enerhoatomu wykonywał jakieś prace w elektrowniach lub dostarczał jakieś towary na ich potrzeby. Następnie miał otrzymać zapłatę. Jednak w rzeczywistości pieniądze były wypłacane dopiero



To może być punkt zwrotny w prezydenturze Wołodymyra Zełenskigo

po tym, jak grupa Mindicza otrzymała od tego kontrahenta łapówkę w wysokości 10-15% kwoty kontraktu. Kontrahenci praktycznie nie mieli możliwości odmowy przekazania „pro-

wizji” – w takim przypadku po prostu nie otrzymaliby pieniędzy. Do niedawna Enerhoatom znajdował się bowiem na liście przedsiębiorstw, od których nie można sądownie

ściągać należności w czasie wojny. Legalizacją środków uzyskanych w ten sposób – ich rozliczaniem i praniem poprzez sieć spółek nierezydentów – zajmowało się biuro zlokalizowane w centrum Kijowa. Łącznie przez tzw. pralnię przeszło około 100 mln dolarów. Lokal należy do rodziny Andrija Derkacza, byłego deputowanego ukraińskiego parlamentu, który w 2022 roku zbiegł do Rosji. W zeszłym roku Derkacz został senatorem w Rosji.

Operacja Midas

Mindicz i Cukerman zdołali uciec przed poniedziałkową akcją NABU – ktoś ich ostrzegł i umożliwił wyjazd z kraju. Inni zamieszani w aferę ludzie zostali albo zatrzymani, albo są podejrzani. W związku ze sprawą doszło już do dymisji w rządzie. NABU poinformowało, że śledztwo rozpoczęło się 15 miesięcy temu i w jego ramach operacyjnie zgromadzone około 1000 godzin nagrań audio, które ujawniły

skalę oszustwa. Wśród podejrzanych znajdują się osoby z najwyższych szczebli rządu, skupione wokół długoletniego bliskiego współpracownika Zełenskigo. Co gorsza, śledztwo zostało przeprowadzone przez instytucje antykorupcyjne, których niezależność Zełenski kilka miesięcy temu próbował niszczyć, co wywołało największe od 2022 roku protesty uliczne na Ukrainie.

Krytycy pomocy ogarniętemu wojną krajowi zyskali właśnie potężny argument. Zachodnie rządy zapewniające Kijowowi wsparcie militarne i gospodarcze muszą uzasadniać to przed swoimi wyborcami, a ten skandal nie ułatwi zadania. Stawką jest zaufanie społeczeństwa, armii i partnerów międzynarodowych.

Żadne rozwiązanie rady nadzorczej, skazanie kilku osób i nowe audyty nie naprawią szkód. Bez naprawę radykalnych kroków, ta afera może stać się punktem zwrotnym w prezydenturze Zełenskigo.

AUTOREKLAMA

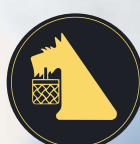
0011424660

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

do kupienia
także
w sieci

Netto





Zainwestuj w OZE ze wsparciem z ARiMR

Rolnicy, którzy chcą zainwestować w swoich gospodarstwach w odnawialne źródła energii, czy też zmodernizować pod względem energetycznym budynki służące produkcji, mogą składać w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa wnioski o dofinansowanie takich przedsięwzięć. Nabór trwa do 19 listopada 2025 r., a środki na ten cel pochodzą z budżetu Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027.

Obniżenie rachunków za energię potrzebną do prowadzenia działalności rolniczej, zwiększenie niezależności energetycznej gospodarstwa, zagospodarowanie odpadów rolniczych, ograniczenie negatywnego wpływu na środowisko – m.in. dla tych korzyści rolnikowi opłaca się inwestować w odnawialne źródła energii (OZE).

FOTOWOLTAIKA I BIOGAZOWNIE

Energia słoneczna to jedno z najbardziej dostępnych odnawialnych źródeł energii, które z powodzeniem może być wykorzystywane w rolnictwie. Panele fotowoltaiczne przekształcają promieniowanie słoneczne w energię elektryczną, która może być używana na potrzeby gospodarstw. W szczególności panele słoneczne mogą zasilać urządzenia elektryczne, pompy wodne, systemy nawadniające czy oświetlenie budynków gospodarczych.

Kolejnym źródłem energii odnawialnej, które doskonale wpisuje się w potrzeby gospodarstw rolnych, szczególnie prowadzących produkcję zwierzęcą, są biogazownie. Są to instalacje, w których odpady organiczne, takie jak obornik, słoma czy resztki roślinne, ulegają procesowi fermentacji beztlenowej, w wyniku czego powstaje biogaz oraz poferment. Biogaz może być wykorzystywany do produkcji energii elektrycznej i ciepłej w gospodarstwie, z kolei poferment, czyli produkt uboczny procesu fermentacji, może służyć jako wysokiej jakości nawóz organiczny.

Gospodarstwa, które wdrażają rozwiązania OZE, zyskują nie tylko poprzez obniżenie kosztów funkcjonowania, lecz także na wizerunku jako liderzy nowo-



czesnego i odpowiedzialnego rolnictwa, co może zwiększyć ich rynekową konkurencyjność i być atutem w rozmowach z partnerami, kontrahentami czy bankami.

ZIELONA ENERGIA Z DOFINANSOWANIEM

Koszty instalacji urządzeń do wytwarzania zielonej energii mogą być znaczące, jednak istnieją programy wsparcia finansowego, które umożliwiają realizację takich projektów. Rolnicy mogą skorzystać z preferencyjnych kredytów, dotacji krajowych czy dofinansowania z budżetu unijnego.

Europejskie środki na inwestycje w gospodarstwach rolnych w zakresie OZE i poprawy efektywności energetycznej dostępne są w Planie Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. Dofinansowanie można otrzymać na budowę biogazowni, zakup mikroinstalacji do wytwarzania energii z promieniowania słonecznego

go czy termomodernizację budynków gospodarczych i wyposażenie ich w energooszczędne oświetlenie. Ten program wsparcia realizuje Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Po raz pierwszy uruchomiła go w 2024 r. Przyjętych zostało wówczas blisko 2,2 tys. wniosków. Najwięcej rolników ubiegało się o dofinansowanie zakupu mikroinstalacji – prawie 1,6 tys.

Kolejny nabór wniosków o wsparcie na inwestycje w OZE z PS WPR na lata 2023-2027 trwa. Dokumenty można składać w ARiMR do 19 listopada 2025 r. Kto i na jakich zasadach może aplikować o te środki?

SETKI TYSIĘCY DO WZIĘCIA

Pomoc finansowa realizowana jest w trzech obszarach inwestycyjnych:

A – budowa nowych biogazowni rolniczych;

B – zakup mikroinstalacji fotowoltaicznych i instalacji do wytwarzania energii

z promieniowania słonecznego wraz z magazynami energii i systemami zarządzania energią lub z pompą ciepła; **C** – inwestycje poprawiające efektywność energetyczną budynków gospodarskich, m.in.: budowa kotłowni na biomasę, docieplenie ścian czy podłóg, wymiana oświetlenia na energooszczędne w technologii LED.

Aby móc ubiegać się o dofinansowanie, trzeba spełnić określone warunki, m.in.: być rolnikiem – osobą fizyczną, prawną lub jednostką organizacyjną nieposiadającą osobowości prawnej bądź wspólnikiem spółki cywilnej prowadzącej działalność rolniczą; posiadać lub współposiadać z małżonkiem (o ile nie występuje rozdzielność majątkowa) gospodarstwo, które otrzymało jednolitą płatność obszarową lub podstawowe wsparcie dochodów w ramach PS WPR w roku złożenia wniosku lub roku poprzednim; przejść szkolenie z zakresu efektyw-

ności energetycznej w ciągu ostatnich 24 miesięcy lub złożyć zobowiązanie do jego odbycia przed złożeniem ostatniego wniosku o płatność.

Ważne jest również to, że realizacji inwestycji, na którą rolnik ubiega się o dofinansowanie, nie można rozpocząć przed złożeniem w ARiMR wniosku o pomoc, gdyż skutkować to będzie jego odrzuceniem.

Wsparcie ma formę refundacji, którą może zostać objętych do 65 proc. kosztów kwalifikowalnych inwestycji. Wysokość pomocy zależy od obszaru. Dla obszaru A jest to 1,5 mln zł, a dla obszarów B i C po 200 tys. zł. Co istotne, pomoc w ramach pewnych kategorii inwestycji można ze sobą łączyć, wówczas maksymalna wysokość wsparcia wynosi: obszary A i B – 1,5 mln zł; obszary A i C – 1,7 mln zł; obszary B i C – 400 tys. zł, obszary A, B i C – 1,7 mln zł.

Na inwestycje można uzyskać 50-proc. zaliczkę,

a minimalny koszt planowanych przedsięwzięć musi wynosić 20 tys. zł.

TYLKO ONLINE

Wnioski w ramach wszystkich naborów z PS WPR 2023-2027 Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przyjmuje wyłącznie drogą internetową. A to oznacza, że również ubiegający się o wsparcie na inwestycje w gospodarstwach rolnych w zakresie OZE i poprawy efektywności energetycznej mogą składać dokumenty tylko za pośrednictwem Platformy Usług Elektronicznych ARiMR.



WŁODZIMIERZ CZARZASTY. NOWY MARSZAŁEK SEJMU

Zgodnie z umową koalicyjną to właśnie Włodzimierz Czarzasty zastąpi Szymona Hołownię w fotelu marszałka Sejmu. Czy poradzi sobie na sali plenarnej? Ma doświadczenie polityczne. Inteligencji i błyskotliwości też nikt mu nie odmówi. Dużo przeżył i niejedno już widział, więc pewnie niewiele rzeczy jest go w stanie zaskoczyć

Dorota Kowalska

Wszystko wskazuje na to, że przez najbliższe dwa lata Włodzimierz Czarzasty będzie marszałkiem Sejmu. Czy na sali plenarnej nie zabraknie emocji? Pewnie nie.

Czarzasty to na pewno postać nietuzinkowa. Inteligentny, błyskotliwy, świetnie wypada w mediach. Nie daje się zapędzić w kozi róg, choć bywa przy tym dość bezpośredni, najdelikatniej mówiąc. Jest też Czarzasty dość charakterystyczny i nie chodzi tu o rodzaj okularów czy fryzur, które nosi, ale o swetry. Ma ich cały zestaw, preferuje trzy: te w kolorach czerwonym, niebieskim i żółtym. I tak w studio telewizyjnym od razu rzuca się w oczy, bo siedzi w nim oprócz niego kilku panów w smutnych garniturach, albo pań w grzecznych garsonkach, a Czarzasty w sweterku w kolorze bijącym

po oczach. Chociaż ostatnio częściej przywdziewa także garnitur.

- Włodzimierz Czarzasty to niewątpliwie człowiek bardzo ambitny, chociaż ja osobiście w polityce boję się ludzi nadmiernie ambitnych. Inteligentny, błyskotliwy. Sprawny komentator sceny politycznej, dobrze wypada w mediach. Bardzo dużą wagę przykładam do czytania, ocenia ludzi po tym, ile przeczytali książek, zazwyczaj dla niego przeczytali ich za mało - opowiadała mi swego czasu Katarzyna Piekarska, obecnie posłanka KO, kiedyś SLD.

To prawda, Czarzasty zwykł mawiać: „Ludzie, którzy czytają książki, rządzą tymi, którzy oglądają telewizję”. I pewnie sporo w tym racji. Sam Czarzasty zalicza się do grona polityków czytających: chętnie, dużo, z zacięciem. Kiedyś opowiadał mi o tym swoim czytaniu.

- Chciałbym, żeby czytających polityków było jak najwięcej. Są grupy zawodowe, które mają obowiązek czytania, i politycy, moim zdaniem, do takiej grupy należą - mówił. I tłumaczył, że jest zawodowym wydawcą, więc ma nawyk czytania. Właściwie od liceum. - Książki kształtują charakter, zmuszają do myślenia. Dwie rzeczy mnie w życiu niosły: liczba książek, które przeczytałem, i liczba ludzi, których poznałem - opowiadał.

Czyta kilka książek naraz: czasami pięć, sześć. Przeżywa kilka historii równolegle. Wybiera pozycje zależnie od nastroju, stanu ducha. Jak ma zawrót głowy, kłopoty, sięga po książki z dzieciństwa. W czasie afery Rywina śledził na przykład przygody Tomka w książkach Alfreda Szklarskiego. Zawsze chętnie wraca do „Małego księcia” i „Kubusia Puchatka”. Dalej: literatura ibe-

roamerykańska. Miał, jako wydawca, swój wkład w to, że po raz kolejny zakochali się w niej Polacy. Wraca do Marquiza: „Sto lat samotności”, „Miłość w czasie zarazy”, „Kronika zapowiedzianej śmierci” - leżą od wielu lat na półkach w pokoju. Z Marquize spotkał się osobiście, Lłosę, świetnego peruwiańskiego pisarza, laureata literackiej Nagrody Nobla, przyjmował w Warszawie. To właśnie przywilej wydawcy. Oprócz powieści lubi książki, które niosą pewną wiedzę historyczną, lubi zbeletryzowane biografie. I tak wszystkim poleca opowieści o Darwinie, Freudzie, czy chociażby historię impresjonizmu pióra Irvinga Stone'a.

Czarzasty urodził się w Warszawie, skończył stosunki międzynarodowe na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

„W Warszawie skończyłem liceum Powstańców Warszawy i gdy teraz patrzę na to z perspektywy czasu, to ani jednej godziny lekcyjnej nie poświęcono Powstaniu Warszawskiemu. Potem chciałem iść do szkoły teatralnej, a jeszcze przedtem na biologię, bo ornitologia była moją pasją. Ostatecznie wyładowałem na wydziale dziennikarstwa i nauk politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Obroniłem się i zdobyłem tytuł magistra” - pisze Czarzasty na Facebooku.

Był działaczem studenckim, przewodniczącym Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich UW, wiceprzewodniczącym Rady Okręgowej ZSP w Warszawie i wiceprzewodniczącym ZSP. Należał do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich i do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, potem do Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna. W wyborach parlamentarnych w 1997 bez powodzenia kandydował z ramienia Sojuszu Lewicy Demokratycznej do Sejmu. Został jednym z liderów Stowarzyszenia „Ordynacka”, któremu szefował do kwietnia 2017 roku.

- Sprawny gracz na scenie politycznej, bardzo inteligentny. Przy tym sprawny organizator, zrobił dużo dobrego dla „Ordynackiej”, która była w zapaści. Kiedy zaczął jej szefować, zdecydowanie odżyła. Jego występy medialne oceniam pozytywnie. Krecja sweterkowa to także dobry pomysł, bo wyróżnia go z tłumu. Fajny towarzyszko, można z nim spędzić czas bardzo ciekawie - mówił mi swego czasu Andrzej Rozenek, który Czarzastego zna jeszcze z czasów ZSP.

Nie żył tylko polityką. Był szklarzem w zakładzie szklarskim, kierownikiem na budowie, na przełomie lat 80. i 90. zajmował się handlem: kupował towar w Chinach, a potem sprzedawał go w Rosji.

- Jak byłem młody, to zapierałem dzień i noc. O 6 wychodziłem do roboty, przychodziłem o 23. Przynosiłem pieniądzę. Nie pamiętam twarzy

swoich dzieci z pierwszego, drugiego, czwartego roku. I już nie będę pamiętał - mówił w Radiu Zet Czarzasty, komentując forsowany w zeszyłym roku przez Lewicę pomysł skrócenia czasu pracy.

Bo był też dyrektorem Akademickiego Biura Kultury i Sztuki Alma-Art, a na początku lat 90. wraz z żoną zaangażował się w działalność oficyny wydawniczej Muza.

„Po tym czasie mój Przyjaciel zaprosił mnie do współpracy i założyliśmy razem wydawnictwo książkowe MUZA. W 1990 roku ukazała się pierwsza książka, a resztę z pewnością już znacie, ponieważ to duże i dobrze znane wydawnictwo. Właściwie całe życie wydaję książki. Pierwszym moim poważnym wyzwaniem wydawniczym była edycja tych książek, które przeczytałem i które bardzo mi się podobały. I wiecie co? Zrobiłem to” - pisze Czarzasty w mediach społecznościowych.

Było też miejsce w radzie nadzorczej spółki producentów Euromedia, radzie nadzorczej Polskiego Radia, no i w końcu prezydent Aleksander Kwaśniewski powołał go w skład Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Od marca 2000 roku do sierpnia 2004 roku zajmował stanowisko sekretarza KRRiT. Potem wiadomo, Lew Rywin przyszedł do Adama Michnika.

Przez cztery lata, od roku 2000 do 2004 Czarzasty był sekretarzem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Według przyjętego przez Sejm w 2004 roku raportu z prac komisji śledczej badającej aferę Lwa Rywina autorstwa Zbigniewa Ziobry, Czarzasty miał być członkiem „grupy trzymającej władzę”, która wysłała Lwa Rywina z korupcyjną propozycją do „Gazety Wyborczej”. Nie potwierdził tego sąd, ale polityczna kariera Czarzastego się załamała, choć nie grał wtedy w politycznej pierwszej linii frontu.

„Z racji kierunków studiów, czyli dziennikarstwa i nauk politycznych, interesowałem się

AUTOREKLAMA

0011430402



stronapodrozy.pl/przewodnik

Jesień

to dobry czas na odkrywanie



- Podróż po miastach
- Smaki kulinarne regionu
- Weekend w SPA i termach
- Aktywny wypoczynek
- Jeszcze jedna historia

mediami. Zostałem powołany do rady nadzorczej Polskiego Radia, a po roku zostałem jej szefem i byłem nim kilka lat. Radio to olbrzymia firma, dobrze prowadzona przez Andrzeja Siezieniewskiego do dziś.

Po kilku latach pracy w radzie nadzorczej Prezydent Aleksander Kwaśniewski powołał mnie w skład Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, w której przez sześć lat byłem sekretarzem. To jedyna praca urzędnicza, jaką wykonywałem w swojej karierze zawodowej. Doświadczenie, jakie z niej wyniosłem, to takie, że praca urzędnika nie jest dla mnie, bo to zwyczajnie nudna robota.

Potem wróciłem do firmy i zacząłem prowadzić wydawnictwo dziecięce WILGA, które funkcjonuje do dziś i jest jednym z największych tego typu w Polsce. Wydawałem książki dla dzieci przez pięć lat" - pisze Czarzasty na Facebooku.

Rozmawiałam kiedyś z Włodzimierzem Czarzastym o tym, co decyduje, że człowiek podnosi się i idzie dalej.

- Afera Rywina zrobiła mi dużo dobrego - stwierdził wtedy. - Bo wiem, co to znaczy być na dole. Takie zdarzenia w życiu człowieka uczą pokory, cierpliwości, czekania, uczą dystansu do siebie - wyliczał.

Opowiadał mi wtedy, że o tym, jak człowiek odnajduje się poza polityką, jeśli wcześniej dość mocno w niej siedział, decyduje podejście do życia. On ma takie: jeśli straciłby pracę, to otworzyłby stragan z warzywami. Kupowałby te warzywa taniej, a na straganie sprzedawał z zyskiem. Jak trzeba, to od 3 rano. I bardzo dbałby o ten stragan, tak by na targowisku być w końcu najlepszym. Bo, jak powtarzał, żadna praca nie jest zła, trzeba się tylko przykładać.

- Najgorsi faceci to tacy, którzy jak przestają być ministrami, to następne pięć, sześć lat czekają, aż nimi zostaną ponownie - zauważył.

Czarzasty przeczekał. Od zawsze, jak pisze, interesował się polityką, a lewicowe ideały towarzyszyły mu w codziennym życiu.

W 2012 roku wziął udział w wyborach na przewodniczącego wojewódzkich struktur SLD na Mazowszu i wygrał z Katarzyną Piekarską.

- Ma opinię człowieka politycznego sukcesu. Chociaż o sile partii decyduje także wynik wyborów samorządowych. Kiedy Czarzasty został szefem struktur na Mazowszu, mieliśmy siedmiu radnych w Sejmiku, teraz zostałam sama - opowiadała Piekarska. - Jeśli chce, potrafi być czarujący, ale potrafi także pokazać miejsce w szeregu - dodała.

Czarzasty miał też w Sojuszu wrogów, głównie ludzi młodych.

- Włodek ma trudny, konfliktowy charakter. Bywa aro-



Włodzimierz Czarzasty coraz częściej pojawia się publicznie w garniturze, a nie w żółtym lub niebieskim swetrze, ale też prowadził posiedzenia Sejmu jako wicemarszałek w stroju mniej formalnym, niż to zazwyczaj bywało

gancki, wręcz chamski. Jak czegoś potrzebuje, jest „do rany przyłóż”, jak ktoś nie jest mu do niczego potrzebny, traktuje go z góry - mówi nam jeden z polityków byłego już Sojuszu. - Potrafi mieć swoje zdanie i go bronić. Czasami bywa szorstki, ale taka jest polityka, to nie jest miejsce dla ludzi rozmownych - dodaje nasz rozmówca.

Dobry organizator, operatywny działacz, pragmatyk, politycznie potrafi walczyć o swoje - taką ma opinię.

Był w sztabie wyborczym Magdaleny Ogórek, nie zgadzał się na kampanię prowadzoną tak, jak chciała Ogórek. Nie słuchała go, więc dał sobie z kampanią spokój.

W 2016 roku wystartował w wyborach na przewodniczącego SLD. W I turze głosowania wśród członków partii zajął pierwsze miejsce, w II turze, w której wzięli udział delegaci na kongres SLD, pokonał Jerzego Wenderlicha.

Był jednym z liderów Koalicji Europejskiej zawiązanej przez partię opozycyjne przed majowymi wyborami do Parlamentu Europejskiego w 2019 roku.

Przed październikowymi wyborami parlamentarnymi w tym samym roku w imieniu SLD zawiązał porozumienie z Robertem Biedroniem (prezsem partii Wiosna) i Adrianem Zandbergiem (jednym z liderów Lewicy Razem), funkcjonujące pod nazwą Lewica.

- Cóż, panów Czarzastego, Biedronia i Zandberga łączy to, że przyznają się do tożsamości lewicowej i ta tożsamość jest w tarapatkach, bo rozjechała jej się baza społeczna i rozumienie sensu lewicowości - mówił dr Jarosław Flis, politolog. I tłumaczył, że ta trójka mocno się różni. Robert Biedroń pełnił rolę katalizatora między Wło-

dzimierzem Czarzastym a Adrianem Zandbergiem, który swego czasu nie szczędził cierpkich słów pod adresem Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

- Wszyscy trzej chcą być przedstawicielami lewicy, łączy ich oprócz tego bezideowość i progresywny sposób myślenia. Zandberg jest najbardziej socjalny, Biedroń światopoglądowy, Czarzasty to pragmatyk - ocenił z kolei prof. Kazimierz Kik, politolog. - A co ich dzieli? Doświadczenie życiowe i polityczne. Oni są tak naprawdę z różnych światów - dodał prof. Kik.

I trudno się z tym stwierdzeniem nie zgodzić.

Jednak w wyborach parlamentarnych w 2019 roku Czarzasty uzyskał mandat posła na Sejm IX kadencji, otrzymał w okręgu sosnowieckim 31 244 głosy. 12 listopada 2019 został wybrany na wicemarszałka Sejmu IX kadencji. W 2021 roku kierowany przez niego Sojusz Lewicy Demokratycznej przekształcił się w Nową Lewicę, do której dołączyli działacze rozwiązanej Wiosny. Rok później Włodzimierz Czarzasty został jednym z dwóch, obok Roberta Biedronia, współprzewodniczących partii.

Podczas rządów Prawa i Sprawiedliwości nie przebiegał w słowach, zresztą zawsze słynął z ciętego języka.

O byłym premierze Mateuszu Morawickim powiedział: „Facet po prostu w krótkich majtkach, od początku do końca”. O Przemysławie Czarnku: „Panie doktorze, bez nerwów i bez ekspresji mówię panu jasno: jeżeli pan ma zamiar zmieniać program polskich szkół pod swoje poglądy, poglądy homofobicznego świra, to po prostu obawiam się o przyszłość polskiej edukacji jeszcze bardziej, niż się obawia-

łem za czasów ludzi, którzy na przykład byli szefami Ligi Polskich Rodzin. To jest przerażające”.

Ale sytuację swojego środowiska politycznego też określał dosadnie. „Jesteśmy w tak głębokiej dupie, że dla każdego robota się znajdzie” - to o Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Dla Grzegorza Napieralskiego, który był swego czasu kandydatem SLD na ministra finansów, również nie miał litości. „Grzesiu, widzisz tę ścianę? Wyobraź sobie, że wiszą na niej zdjęcia wszystkich ministrów finansów. Balcerowicz, Olechowski, Kołodko, Belka, Rostowski, jest też twój Wikiński. Teraz usiądź, zrób sobie drinka i powiedz, która twarz tu nie pasuje. Przecież ten facet skończył Wyższą Szkołę Inżynierską w Radomiu. Grzesiu, czy ciebie kompletnie porąbało?” - stwierdził. W rozmowie z naszą gazetą, podczas kampanii prezydenckiej Bronisława Komorowskiego, przyznał: „Chciałbym, żeby wreszcie powiedział coś mądrego”.

W wyborach 2023 roku Czarzasty dostał się do Sejmu. Wybrano go na wicemarszałka Sejmu X kadencji. W zawartej uprzednio umowie koalicyjnej między KO, Polską 2050, PSL i Nową Lewicą ustalono, że Włodzimierz Czarzasty w połowie kadencji ma zostać marszałkiem Sejmu.

Tyle polityka. Przyszły marszałek Sejmu niechętnie opowiada o swoim życiu prywatnym. Rzadko, nawet na partyjnych imprezach, pojawia się z żoną, Małgorzatą. Wiadomo, że ukończyła studia magisterskie i doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim, jest wiceprezeską zarządu wydawnictwa Muza, a także prezeską zarządu wydawnictwa OH BOOK!, które założyła ich

córka, Iga Czarzasty, z wykształcenia humanistka.

W 2019 roku Włodzimierz Czarzasty doczekał się wnuczki Zoi.

- Bardzo fajnie jest być dziadkiem, powoli zakochuję się w tej roli - mówił w rozmowie z „Super Expressem”. - Mam cudowną wnuczkę: śpi i je, i jest super grzeczna. Wcale nie jest drobnitką, jest fajną dziewczyną, najfajniejszą ze wszystkich! - opowiadał.

I dodał, że będzie dbał o to, by była wykształcona i szczęśliwa, ale nie chciałby, by ktoś poza samą Zoją decydował o jej przyszłości.

- Na pewno będę jej dużo czytał, dzięki temu nie będzie

hejterką, tylko mądrą dziewczynką - mówił. Zdjęciem Zoi pochwalił się też na Twitterze.

Co ciekawe, o Czarzastym przynajmniej raz plotkowano. Chodziło o rzekomy romans polityka z Anną Marią Żukowską, polityczką lewicy. Sprawę podniosła Monika Jaruzelska, córka Wojciecha Jaruzelskiego, która stwierdziła, że miejsce na liście zostało przyznane innej posłance, a nie jej, jedynie z powodów prywatnych relacji Anny Marii Żukowskiej i Włodzimierza Czarzastego.

- Wszyscy twierdzą, że to osobista decyzja Włodzimierza Czarzastego, bo bliższa jego sercu jest Anna Maria Żukowska. Mężczyźni w kryzysie wieku średniego robią różne rzeczy. Jak widać, każdy Kazimierz ma swoją Izabel - mówiła Jaruzelska w wywiadzie z „Dziennikiem Gazetą Prawną” i dodała, że nie chciała „tego tematu rozwijać, choćby ze względu na szacunek dla żony pana Czarzastego, kobiety mądrej, cieplej i z klasą”.

- Takie wypowiedzi ranią ludzi, ranią ich rodziny, nie będzie z mojej strony żadnej kontrodpowiedzi, element obrażania ludzi zawsze funkcjonował - skwitował Włodzimierz Czarzasty w rozmowie z wp.tv i powstrzymywał się od dalszych komentarzy wobec tej „absurdalnej sugestii” z szacunku dla rodziny swojej, jak i rodziny Anny Marii Żukowskiej.

Czy Włodzimierz Czarzasty będzie dobrym marszałkiem Sejmu? Ma doświadczenie polityczne. Inteligencji i błyskotliwości też nikt mu nie odmówi. Dużo przeżył i niejedno już widział, więc pewnie niewiele rzeczy jest go w stanie zaskoczyć.

REKLAMA 0311243884

Tvoja jesienna kolekcja marzeń
- tylko w
CENTRUM MODY
NADARZYN

Czynne w każdej
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy

CM
ELEGANCJA

Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

MAREK BOROWSKI: MARSZAŁEK SEJMU JEST POSTRZEGANY WSZĘDZIE JAKO SYMBOL DEMOKRACJI

Jestem zwolennikiem tego, aby marszałkami Sejmu zostawali ludzie, którzy mają jakiś staż parlamentarny i dali się poznać jako posłowie, dali się poznać także jako ludzie. Znamy ich cechy charakteru. Uważam, że tak powinno być. Czy tak jest? Nie do końca – mówi senator Marek Borowski, marszałek IV kadencji Sejmu

Dorota Kowalska

Jakim marszałkiem był Szymon Hołownia?

Myślę, że dobrym.

Zrobił z marszałkowania małe show, w każdym razie na początku tej kadencji Sejmu, obrady oglądały tysiące Polaków. To był hit na YouTube. Hołownia wprowadził powiew świeżości do polskiego parlamentu.

On przyszedł ze świata, w którym sam uprawiał ten show, więc przeniósł go tutaj, do Sejmu. Jednak gdyby jego marszałkowanie ograniczyło się jedynie do show, nie byłbym zachwycony, ale Hołownia sprawnie prowadził obrady, zwłaszcza w pierwszym okresie tej kadencji, który był dość napięty. Agresja ze strony nowej opozycji, a poprzedniej władzy, była bardzo widoczna. Hołownia potrafił ją rozbrajać. I to się podobało. W dalszej części jego kadencji prowadził Sejm prawidłowo. Patrząc na to od takiej strony formalnej, to znaczy gdybyśmy mieli scharakteryzować, wymienić, jakie zadania stoją przed marszałkiem Sejmu...

No właśnie, jakie to zadania?

Wymieniłbym ich pięć. Po pierwsze, to kierowanie przepływem dokumentów. To są ustawy, uchwały, opinie – cała masa papierów. Tym trzeba kierować: albo przekazywać do komisji, albo na obrady plenarne, albo do zaopiniowania. I to jest ważna część

jego pracy – wstępne decyzje są przygotowywane przez poszczególne biura, ale ostateczną podejmuje marszałek. Drugie zadanie to prowadzenie obrad albo dbanie o właściwy ich przebieg, bo wiemy, że nie prowadzi ich wyłącznie marszałek, także wicemarszałkowie, ale według wytycznych tego pierwszego. Wicemarszałkowie prowadzą obrady w imieniu marszałka. Ten może w każdej chwili, mimo ułożonego wcześniej harmonogramu, przysiąc i zmienić wicemarszałka. Więc, on określa sposób prowadzenia obrad. I z tym sposobem prowadzenia wiąże się funkcja rozjemcy. Może nie tylko w Polsce, ale w Polsce szczególnie ze względu na napięcia dość wyjątkowe między rządzącymi a opozycją, ta funkcja marszałka jest niezwyczajnie istotna. Chodzi o to, aby poprzez swoje działania nie doprowadzać do zaburzeń w pracy Sejmu. Mogę przypomnieć sytuację, kiedy marszałkiem był Marek Kuchciński i kiedy ukarał posła Szczerbę. Za nic, właściwie. A to spowodowało bunt w szeregach opozycji, okupowanie mównicy sejmowej. Kuchciński w ogóle nie potrafił się znać w tej sytuacji. Przeniósł obrady do sali kolumnowej. Tam doszło do wielu nieprawidłowości, do łamania regulaminu Sejmu, to pociągnęło za sobą nawet sprawy sądowe. Sposób prowadzenia

obrad jest bardzo ważny, bo łatwo można doprowadzić do sytuacji patowej, niezwykle trudno rozwiązywalnej.

Trzecie zadanie?

To kontakty międzynarodowe. Marszałek jest jednym z realizatorów polityki zagranicznej Polski. Oczywiście, on się głównie kontaktuje z parlamentami innych krajów, ale przy okazji czasami z premierami, a zdarza się, że i z prezydentami. To też wymaga z jego strony pewnych umiejętności, wiedzy, zdolności. Pamiętam, jak po inwazji (z polskim udziałem) na Irak w 2003 roku, Niemcy i Francja, które inwazję tę uznały za awanturę, przerwały kontakty z naszymi politykami. Wtedy, na prośbę Kwaśniewskiego i Millera, dla ocieplenia stosunków, odbyłem wizyty w Bundestagu i we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Okazało się to korzystne dla przełamania impasu we wzajemnych stosunkach. Czwarte zadanie to kierowanie tą wielką instytucją, jaką jest Sejm. To coś w rodzaju firmy. To są budynek, to są ludzie, w Sejmie przecież pracuje ponad tysiąc osób. Rozwiązuje się różne problemy bytowe posłów, pracowników. Ta wielka firma musi działać sprawnie. Aczkolwiek, oczywiście, marszałek ma szefa kancelarii, który się tym zajmuje na co dzień, ale strategiczne

decyzje musi podejmować właśnie on. I wreszcie piąte zadanie to czynności reprezentacyjne. Marszałek jest postrzegany wszędzie jako symbol demokracji, w związku z tym różnego rodzaju organizacje pozarządowe, instytucje chcą, żeby czemuś patronował, gdzieś przyjechał, coś otworzył, przy okazji coś powiedział. To też wymaga jednak jakichś kwalifikacji. Jeżeli spojrzymy na tych pięć punktów, próbując odpowiedzieć na pani pytanie, jakim marszałkiem był – jeszcze jest – Hołownia, to właściwie w każdym z tych punktów – może najmniej mam do powiedzenia o tym, jak kierował Sejmem jako swego rodzaju firmą – ale jeśli chodzi o czynności reprezentacyjne, kontakty międzynarodowe, prowadzenie obrad, kierowanie obiegiem dokumentów, to nie mam uwag do jego pracy.

Marszałek Sejmu jest drugą osobą w państwie. Z czego to wynika?

To bardzo miłe dla każdego marszałka, też bardzo lubiłem, kiedy mówili, że jestem drugą osobą w państwie, ale prawda jest trochę inna. Z czego to się bierze? Z tego, że konstytucja mówi, iż w przypadku, gdy prezydent nie jest w stanie wykonywać swoich funkcji, to w tę rolę wchodzi marszałek. I tak na marginesie, raz to się zdarzyło.

Po katastrofie smoleńskiej.

Tak, po katastrofie smoleńskiej Bronisław Komorowski objął funkcję prezydenta, praktycznie będąc także marszałkiem. Poza tym, jest coś takiego jak precedencja. W języku dyplomatycznym precedencją to kolejność witania, związana jak wiadomo z hierarchią. I teraz kolejność witania u nas jest taka, że najpierw wita się prezydenta, mimo że więcej do powiedzenia ma premier, ale wita się prezydenta jako pierwszego. Ponieważ marszałek go zastępuje, jak go nie ma, to drugiego wita się marszałka. A jeżeli marszałek Sejmu nie może być na uroczystości, to w jego miejsce wchodzi marszałek Senatu, wtedy trzeciego wita się właśnie jego i dopiero czwartego wita się premiera. Ma to charakter dosyć ceremonialny. Natomiast, tak naprawdę gdybyśmy mówili o tych osobach z punktu widzenia ich zakresu władzy, to na pewno na pierwszym miejscu byłby premier, na drugim prezydent, a dopiero na trzecim marszałek.

Zauważyłam, że politycy chcą być marszałkami, jest swoisty ciąg na to stanowisko?

Jest także ciąg na stanowisko prezydenta.

Premiera też!

Z premierem to już różnie bywa. Tutaj takiej kolejki chętnych to nie ma. Dlaczego? Z bardzo prostego powodu: z funkcją w rządzie, jaka by nie była, wiąże się ogromna odpowiedzialność. Za błędy można zapłacić karierą albo nawet więzieniem.

Nicolas Sarkozy kilka tygodni temu poszedł do więzienia.

A w Polsce mamy dzisiaj ileś tam aktów oskarżenia przeciwko politykom, którzy wchodzili w skład rządu. Więc do kogoś takiego mówią: „panie premierze”, „panie ministrze”, kłaniają się. Ktoś taki ma dużą władzę, jeśli chodzi na przykład o rozdział stanowisk, ale za chwilę okazuje się, że ponad połowa Polaków go nie znosi i przy najbliższych wyborach nie wejdzie do Sejmu, nie mówiąc już o rządzie. W przypadku prezydenta odpowiedzialność jest już znacznie mniejsza. Prezydent na dobrą sprawę może zawetować ustawę, może sobie ustawę przygotować, a poza tym jeździ, wypowiada się, reprezentuje. Nasz prezydent to nie jest prezydent Francji ani prezydent Stanów Zjednoczonych, który jest odpowiedzialny za pracę rządu. W trzeciej kolejności powstałbym marszałka Sejmu, który żadnej konkretnej odpowiedzialności za akty prawne nie ponosi. On ich nie przygotowuje, one od niego nie zależą. Oczywiście może sobie

popsuć karierę polityczną, tak jak to zrobił Marek Kuchciński, jeśli okaże się wyjątkowo niezdarny albo tendencyjny w fotelu marszałka. Ale generalnie rzecz biorąc, jest to funkcja, która pozwala osiągnąć to, na czym politykowi zależy, mianowicie: popularność, ogólnopolską rozpoznawalność, zbytnio nie podpadając społeczeństwu. W związku z tym, zwłaszcza jeśli są rządy koalicyjne, jest kilka partii, które decydują o wyborze marszałka, to w zasadzie każda z nich na wystąpienie palca wystawi dwójkę albo trójkę kandydatów na marszałka.

Ale z racji tego, czym zajmuje się marszałek Sejmu, myślę tu głównie o prowadzeniu obrad, wydawałoby się, że to powinna być osoba, która cieszy się autorytetem, szacunkiem wszystkich opcji politycznych, że jest to ktoś uczciwy i trochę, dziwnie to zabrzmiało, ale apolityczny, prawda?

Tak powinno być. O zupełnej apolityczności nie można mówić, marszałek jest przecież członkiem określonego ugrupowania politycznego...

Ale powinien stać ponad podziałami.

Oczywiście to powinna być osoba, która jest znana z tego, że potrafi zachować bezstronność, obiektywizm. Jestem zwolennikiem tego, aby marszałkami Sejmu zostawali ludzie, którzy mają jakiś staż parlamentarny i dali się poznać, jako posłowie, dali się poznać także jako ludzie. Znamy ich cechy charakteru. Uważam, że tak powinno być. Czy tak jest? Nie do końca. Hołownia marszałkiem został z rozpędu, ledwie wszedł do Sejmu, został drugą osobą w państwie. Akurat, jak powiedziałam, posiadał różne talenty i nie mam zastrzeżeń do jego pracy, choć na koniec wszystko zepsuł. Ale autorytet jest rzeczywiście ważny. Możemy się powoływać na inne kraje, wspomnę chociażby o brytyjskiej Izbie Gmin, ale u nas nigdy tak nie będzie. Tam wybór marszałka to rzecz niesłychanie ważna, on jest nie do odwołania i natychmiast rezygnuje z pełnienia funkcji politycznej. To jest zupełnie inna bajka.

Którego marszałka cenili pan i uważał za dobrego?

Kiedy patrzę na cały szereg marszałków, jaki przewinął się w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat przez nasz Sejm, to z reguły były osoby, które spełniały te cechy, o których mówiłem, przynajmniej w znacznym stopniu. Miały staż parlamentarny, dały się poznać jako odpowiedzialni, dobrzy posłowie, były to osoby szanowane. Więc nie będę wymieniał jednego, ni-



FOT. ADAM JANKOWSKI

Szymon Hołownia zapowiedział, że 13 listopada złoży rezygnację z funkcji marszałka Sejmu, a wybór kolejnego marszałka ma zostać przeprowadzony 19 listopada. Zgodnie z umową koalicyjną ma zostać nim Włodzimierz Czarzasty

kogo nie chciałbym wyróżniać. Natomiast PiS wniósł do naszego życia wiele złego, w różnych dziedzinach, także w kwestii marszałkowania. Bo, niestety, i pan Kuchciński, i pani Witek to były osoby tak tendencyjne, i tak w sposób jawny naruszające regulamin, że niczego takiego wcześniej nie było.

A jak pan wspomina swoje marszałkowanie? Pan marszałkował w Sejmie, kiedy rządziła koalicja SLD, Unia Pracy i PSL, premierem był Leszek Miller, prezydentem Aleksander Kwaśniewski. Spokojnie chyba było w Sejmie?

(Śmiech) Nic bardziej mylnego! Kiedy patrzę na kadencje Sejmu od 1991 roku do dzisiaj, to uważam, że dla marszałka najtrudniejszą kadencją była właśnie moja kadencja.

Dlaczego?

Ano dlatego, że mieliśmy bardzo agresywną opozycję.

Platformę, PiS, Samoobronę i Ligę Polskich Rodzin.

To była mieszanka wybuchowa. Oczywiście Platforma była najspokojniejsza, ale ta pozostała trójka to stwór z piekła rodem - to po pierwsze. Po drugie - nie minęły chyba dwa lata mojego marszałkowania, kiedy koalicja straciła

większość, ponieważ Leszek Miller zdecydował rozstać się z PSL-em.

I mieliśmy rząd mniejszościowy.

Tak, mieliśmy rząd mniejszościowy, który raz wygrywał, raz przegrywał głosowania, ale to miało swoje konsekwencje dla toku prac Sejmu, dlatego że nigdy nie było wiadomo, jakie wnioski padną. Wnioski dotyczące toku obrad, typu: wrzucmy teraz tę uchwałę albo zdejmijmy tę ustawę, albo szybko przejdźmy do głosowania. Nigdy nie było wiadomo, czy taki wniosek nie uzyska większości. Zresztą nie rzadko uzyskiwał.

Wariactwo!

Absolutnie! Musiałem tym wszystkim, że tak powiem, manewrować, przewidywać, co może się wydarzyć. Określałem ten okres jako swoisty stan wojenny. Obserwowałem późniejszych marszałków, od Kuchcińskiego poczynając, Witek, potem był Hołownia - oni pojawiali się w Sejmie na dzień, w najgorszym razie na dwa dni przed obradami, żeby przygotować pewne rzeczy. Byli w trakcie obrad, potem znikali, załatwiali swoje sprawy. U mnie to było niemożliwe.

Cały czas siedział pan w Sejmie?

Prawie. Przede wszystkim to był jeszcze okres przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. W związku z tym mieliśmy obowiązek przyjęcia pięciuset ustaw, które nasze prawo zrównywało z prawem europejskim. Bez tego nie weszlibyśmy do UE. Musiałem to wszystko przeprowadzić w Sejmie. W związku z czym obradowaliśmy nie dwa razy w miesiącu po dwa dni, tylko trzy razy w miesiącu po cztery dni i często pracowaliśmy do nocy. Były takie obrady, które kończyły się o drugiej, trzeciej nad ranem.

Jak za czasów Prawa i Sprawiedliwości i VIII kadencji Sejmu.

Ale u nich to chyba z innych powodów.

Chyba tak!

W każdym razie to były bardzo napięte czasy i w tych napiętych czasach miałem bez przerwy ataki głównie ze strony Samoobrony, PiS-u i Giertycha, którzy tak naprawdę byli przeciw wejściu Polski do Unii Europejskiej. W każdym razie robili wszystko, żeby pracę Sejmu opóźnić, spowalniać, żeby zatrzymać. Od poniedziałku każdego tygodnia zbierałem ekipę moich współpracowników, szefów biur i z nimi zaczynałem rozmowy na temat tego, jakie punkty mamy na najbliższym posie-

dzeniu i jakie mogą wystąpić problemy, kto może wystąpić z wnioskiem i z jakim, jak na ten wniosek odpowiadać. Miałem ileś zaproszeń na wyjazdy zagraniczne, miałem zaproszenie do Chin, miałem zaproszenie do Australii, musiałem z nich zrezygnować. Dlatego, że to były wyjazdy nie na jeden, dwa dni, tylko na osiem, dziewięć. A to powodowałyby moją nieobecność i na przykład zawalenie jakiejś sprawy.

Z kim pan miał największe kłopoty? Z Andrzejem Lepperem?

Myślę, to było porównywalne, to znaczy Andrzej Lepper był jeden, a Giertych drugi. Giertych, jemu to zresztą do dzisiaj zostało, to jest taki wykrętny prawnik. On robi to, co w łacińskich paremiach, czyli zasadach prawnych, jest wymienione jako niewłaściwe. Mianowicie tam jest taki punkt: „nie czyn ze swojego prawa złego użytku”. On czynił zły użytek z prawa. Było jak dwa plus dwa równa się cztery: na każdym posiedzeniu, zaraz jak je otwierałem, Giertych ręka do góry, on się chce wypowiedzieć w kwestii formalnej, wychodził i mówił, że na podstawie takiego, a takiego artykułu regulaminu wnosi o przerwę albo wnosi o zmianę porządku obrad, albo o to, żeby dodać jakąś

uchwałę do obrad, odjąć i tak dalej. I trzeba było mu odpowiedzieć, podpierając się prawem. On przeszkadzał w taki sposób. Natomiast Lepper taki wykwinąłny to nie był.

Wchodził na mównicę i krzyczał: „Wersal się skończył!”.

Tak jest. On wchodził na mównicę sejmową i nie schodził z niej jak mu odebrano głos, bo przekroczył wszelkie możliwe czasy wypowiedzi. Wtedy organizowano przerwę, to on wtaczał na salę obrad jakąś wielką maszynę, która okazywała się ogromnym głośnikiem i kontynuował wypowiedź przez własny mikrofon.

Wesoło było!

Jeśli chodzi o Ligę Polskich Rodzin Giertycha, to poza Giertychem, wsławił się Gabriel Janowski, który jak wszedł na mównicę, to nie chciał zejść i siedział na niej dziewiętnaście godzin. Wtedy w nocy podjąłem w końcu decyzję o wyniesieniu go przez Straż Marszałkowską, co było ewenementem absolutnym w historii naszego Sejmu. Następnego dnia natychmiast padły trzy wnioski o odwołanie mnie z funkcji marszałka Sejmu. Zresztą takie wnioski później padały jeszcze dwa razy. Także przeżywałem trzy razy próby odwoływania mnie z funkcji marszałka. Jak

pani widzi, to nie była spokojna kadencja.

Były takie momenty, kiedy myślał pan, że wyjdzie z siebie, czuł, że puszczają mu nerwy?

Nie, jestem generalnie...

Spokojnym człowiekiem.

Tak, spokojny człowiek. Raczej cały czas zastanawiałem się, jak wybrnąć w takiej czy innej sytuacji. Wiedziałem, że na pewno żadne krzyki, żadne kary - chociaż pewnie raz kary nałożyłem - nie przyniosą efektu. Generalnie starałem się tego nie robić. Wiedziałem, że nie tędy droga, że trzeba zrobić przerwę, rozmawiać, namawiać, a czasami pójść na kompromis. Sejm to bardzo delikatna instytucja. Można w jakimś momencie doprowadzić do kompletnego pata. Sytuacji, w której niczego nie będzie już można zrobić. Trzeba bardzo tego unikać. Dlatego patrzyłem na to wszystko raczej jak na zagadkę - lubuję się w logicznych łamigłówkach - którą trzeba rozwiązać.

Oprócz pana kadencji najbardziej burzliwe, to chyba dwie kadencje PiS-u, zwłaszcza pierwsza, prawda?

Tak, myślę, że tak. Dlatego, że to był ten pierwszy okres bezczelnego łamania prawa, konstytucji przez PiS. To było ogromne zaskoczenie dla wszystkich, także dla opozycji, która nie wiedziała, jak zareagować, bo zwykle protesty to było za mało. W Sejmie działy się różne rzeczy, nigdy wcześniej ich w parlamencie nie widziano.

Jak pan myśli, jakim marszałkiem będzie Włodzimierz Czarzasty? Bo to raczej spokojny, wyważony człowiek.

Tak, Czarzasty to spokojny człowiek, inteligentny facet, chociaż ma tendencję do słownego gwiazdorzenia, tak bym to określił. Ale generalnie rzecz biorąc, ma już staż parlamentarny, ma długi staż polityczny, w przeciwieństwie do Hołowni, i w związku z tym, moim zdaniem, absolutnie da sobie radę.

CV



SYLWIA DĄBROWA

Marek Borowski

Polityk i ekonomista. Marszałek Sejmu w latach 2001–2004. Wieloletni poseł, obecnie senator.

Miało być na noże i jest. Wojna między prezydentem a rządem przybiera na sile i nic nie wskazuje na to, żeby mogło dojść do rychłego rozejmu.

W środę Karol Nawrocki odmówił nominacji 46 sędziów.

- Nie będę także dawał awansów tym sędziom, którzy kwestionują porządek konstytucyjno-prawny Rzeczypospolitej. Tym sędziom, którzy słuchają złych podszeptów ministra sprawiedliwości pana Waldemara Żurka - zaznaczył w specjalnym oświadczeniu.

Prezydent powołał się przy tym na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2012 roku, które rozstrzyga o tym, że prezydent RP nominuje sędziów oraz ma możliwość odmówić ich nominacji.

Nawrocki mówił, że jego decyzja jest konsekwencją wcześniejszych zapowiedzi.

- Gdy byłem zaprzysięgany na prezydenta Rzeczypospolitej, dałem najpierw pierwszy słowny komunikat w odniesieniu do tego, jak będę w tych sprawach postępował. Mówiłem jasno, że przez najbliższe pięć lat sędziowie, którzy kwestionują porządek konstytucyjno-prawny Rzeczypospolitej Polskiej, nie mogą liczyć ani na awans, jeśli będzie zależał od prezydenta, ani na nominację sędziowską - tłumaczył. - To były słowa, minęły trzy miesiące od moich słów i przestrzegam sędziów Rzeczypospolitej, żeby nie ulegali tym wariacjom, które wyprawia pan minister sprawiedliwości. Dzisiaj już to nie są tylko słowa, tylko konkretne decyzje, a więc odsyłamy nominacje sędziowskie. Brak zgody przez najbliższe pięć lat - dodał prezydent.

Dla wyjaśnienia, 6 sierpnia Nawrocki w trakcie swojego pierwszego orędzia zapowiedział, że nie będzie awansował sędziów, którzy „godzą w porządek konstytucyjno-prawny”.

Szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, który miał konferencję prasową zaraz po oświadczeniu Karola Nawrockiego, nie wskazał konkretnych nazwisk sędziów, których nominacje nie zostały podpisane. Wspominał tylko, co stało za prezydencką odmową.

- Wszystkie różnego rodzaju działania o charakterze takim quasi-politycznym bądź wprost politycznym. Kwestionowanie ustroju Rzeczypospolitej, przyjmowanych przez Sejm, Senat i podpisywanych przez prezydenta ustaw. Kwestionowanie statusu innych sędziów, którzy zostali powołani zgodnie z procedurą, której konstytucyjności nikt nigdy nie kwestionował.

Kwestionowanie sędziów, którzy otrzymali powołania i nominacje z rąk kolejnych prezydentów Rzeczypospolitej. Kwestionowanie poszczególnych izb Sądu Najwyższego,

PREZYDENT KONTRA RZĄD. WOJNA TOTALNA

Tylko w listopadzie prezydent zawetował cztery ustawy, nie podpisał nominacji sędziowskich i oficerskich, a to pewnie nie koniec, bo ponoć obóz rządzący szykuje się na konfrontację totalną. Tak więc spekulacje, że Karol Nawrocki będzie próbował uderzać w ekipę Donalda Tuska, jak najbardziej ją osłabić, wydają się właśnie spełniać

Dorota Kowalska



Karol Nawrocki nabrał wiatru w żagle. We wtorek pojawił się na Marszu Niepodległości, w środę odmówił podpisania nominacji sędziowskich

także powołanych w drodze ustawy - wymieniał Bogucki.

I zwrócił uwagę, że te nominacje wpływały już w trakcie prezydentury prezydenta Andrzeja Dudy.

- I one wtedy były już bardzo mocno analizowane. Także pan prezydent Duda nie podpisywał tych nominacji, a prezydent Nawrocki postanowił zakończyć tę sprawę, czyli odmówić swoim postępowaniem jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej powołania tych sędziów do sądów wyższych instancji - przekazał szef Kancelarii Prezydenta.

Jak można się było spodziewać, decyzji prezydenta Nawrockiego przyklasnęli politycy Prawa i Sprawiedliwości, krytykowali ją przedstawiciele obozu władzy.

„Karol Nawrocki w „najlepiej” odsłonie. Najpierw uderzył w bezpieczeństwo naszej ojczyzny, teraz wypowiedział wojnę polskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Odmowa no-

minacji sędziów na wyższe stanowiska sędziów to przede wszystkim uderzenie w prawo do sądu Polek i Polaków” - skomentował Krzysztof Śmiszek. Michał Wypij stwierdził, że „prezydent Nawrocki przekroczył granicę między odpowiedzialnością a przemocą instytucjonalną”. „Odmowa nominacji 46 sędziów to forma politycznego odwetu, nie troski o państwo prawa. Władza, która używa prerogatyw do zastraszania, podcina gałąź, na której siedzi - zaufanie obywateli” - podkreślił polityk.

„Sędziów, którym Nawrocki odmówił podpisu, należy delegować na wyższe stanowiska. Ma do tego prawo minister sprawiedliwości” - to z kolei Roman Giertych.

Do sprawy odniósł się także rzecznik rządu Adam Szałapka.

- Samo oświadczenie pana prezydenta świadczy o takiej próbie uzurpacji uprawnień. Sędziowie mają prawo do tego, i są na to orzeczenia zarówno

polskich sądów, jak i sądów europejskich, żeby w formie orzeczenia kwestionować status innych sędziów. Są na to orzeczenia trybunałów europejskich, są na to orzeczenia polskich sądów - powiedział.

Dodał, że „to, co powiedział pan prezydent w swoim oświadczeniu, de facto jest próbą zakwestionowania konstytucyjnych zasad niezawisłości sędziów i niezależności sądów”.

- Władza sądownicza musi być w Polsce niezależna od innych władz. Sędziowie są niezawisli, sądy są niezależne i próba kwestionowania tego jest po prostu uzurpacją i próbą podważenia wymiaru sprawiedliwości w Polsce i pogłębianiem chaosu, który został nam zafundowany przez pana ministra Zbigniewa Ziobrę, poprzednią większość parlamentarną i pana prezydenta Andrzeja Dudę - ocenił.

Wczoraj, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej mi-

nister sprawiedliwości Waldemar Żurek stwierdził, że „tego typu podejście do procesu nominacji jest łamaniem polskiej konstytucji”.

Jak poinformował, lista „odrzucanych” sędziów była poprzedzona jedynie jednozdaniowym stwierdzeniem: „Odmawiam nominacji niżej wskazanym osobom”, bez jakiegokolwiek argumentacji.

Ujawnił, że według jego wiedzy prezydent odmówił nominacji sędziom, którzy wcześniej podpisali dwa rodzaje listów: protest przeciwko tzw. wyborom kopertowym oraz apel o wykonanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczących Izby Dyscyplinarnej.

- Mogę powiedzieć, że stosowanie takiego pomysłu, który miał kiedyś król Słońce, który mówił: „Państwo to ja” w polskim systemie prawnym jest niedopuszczalne - ocenił Żurek.

Według ministra decyzja prezydenta jest nie tylko błędem politycznym, ale i prawnym. Konstytucjoniści - jak zaznaczył - wskazują, że prezydent może odmówić nominacji jedynie w wyjątkowych przypadkach, np. gdy w trakcie procedury pojawiają się nowe okoliczności, jak postępowanie karne wobec kandydata.

- Jeżeli tego nie robi, bez uzasadnienia, to łamie prawo. Proszę sobie wyobrazić: jest konkurs, który gwarantuje dostęp do urzędu publicznego, a prezydent bez uzasadnienia mówi: pan nie, pani nie. To sytuacja absolutnie niedopuszczalna - dodał Żurek.

Tomasz Grodzki i Dariusz Joński, politycy Koalicji Obywatelskiej, przypomnieli, że wcześniej Karol Nawrocki odmówił awansów oficerskich.

Ale też w ubiegły piątek Pałac Prezydencki postanowił zablokować awanse ponad 100 funkcjonariuszy i żołnierzy ABW oraz SKW. Pretekstem miała być odmowa stawienia się u głowy państwa przez szefów służb specjalnych.

Krótko po tej decyzji RMF FM nieoficjalnie poinformowało, że Pałac Prezydencki jest w konflikcie z ABW i SKW, a decyzja Nawrockiego jest zemstą. W Kancelarii Prezydenta podejrzewają ponoć, że to właśnie z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wyszła informacja o sprawie kawalerki pana Jerzego w kampanii wyborczej. Agencja miała też robić wszystko, aby Nawrocki nie został głową państwa. Służba Kontrwywiadu Wojskowego miała z kolei podpaść odebraniem prezydentowi dostępu do tajemnic szefowi Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomirowi Cenciewiczowi.

- Prezydent uznał, że nie podpisze tych promocji. To taki dalszy ciąg jego wojny z polskim rządem. Żeby być prezy-

dentem, nie wystarczy wygrać wybory - stwierdził Donald Tusk.

Nawrocki odpowiedział na wpis Tuska nagraniem. Zarzucił szefowi rządu, że to on „podjął decyzję, że szefowie służb specjalnych mają zakaz spotykania się z prezydentem”.

- Odmówiono udzielenia istotnych informacji dotyczących bezpieczeństwa państwa przedstawicielowi prezydenta podczas posiedzenia kolegium ds. służb specjalnych. Odwołano cztery moje spotkania z szefami służb specjalnych. To właśnie na nich miały zostać omówione kluczowe kwestie dla bezpieczeństwa Polski, miały też zapaść decyzje dotyczące nominacji oficerskich - przekonywał Nawrocki.

Na te słowa zareagował z kolei Tomasz Siemoniak, koordynator służb specjalnych, który stwierdził, że to nieprawda, iż służby specjalne nie przekazują informacji prezydentowi, a sytuacja wygląda tak samo, jak z jego poprzednikami. Minister wyjaśniał, że współpracę w tym zakresie regulują „przepisy, które nie przewidują indywidualnych odpaw prezydenta z szefem służby”.

„Jedynym przełożonym szefów służb specjalnych jest premier. Nie ma trybu wzywania podwładnych premiera przez inny organ państwowy” - tłumaczył minister. „Zablokowanie przez prezydenta awansów na pierwszy stopień oficerski nijak się ma do nieprawdziwych zastrzeżeń prezydenta i jest zemstą” - ocenił minister.

Jeśli tak, to nie koniec gry Karola Nawrockiego. Jak donosi Onet, z Pałacu Prezydenckiego płyną sygnały o rychłym zwołaniu kolejnego posiedzenia Rady Gabinetowej, czyli rządu pod przewodnictwem prezydenta. Jednym z tematów może być trudna sytuacja publicznej służby zdrowia, którą obóz głowy państwa określa mianem „dramatycznej”. Obóz władzy szykuje się na totalną konfrontację z Karolem Nawrockim jeszcze przed końcem roku.

- Prezydent kilka tygodni był właściwie nieobecny, więc spodziewaliśmy się, że w okolicach 11 listopada przystąpi do kolejnej fali ataków. I tak się właśnie dzieje - mówi Onetowi jeden z ministrów.

Najpierw Karol Nawrocki zawetował ustawę, która pozwalała na utworzenie Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry, teraz przyszedł czas na sędziów i oficerów. I, żeby było jasne, to nie pierwsze zawetowane ustawy przez Karola Nawrockiego. Tylko w listopadzie były ich cztery, w sumie ponad dziesięć.

Tak więc spekulacje, że Karol Nawrocki będzie próbował uderzać w rząd Donalda Tuska, jak najbardziej go osłabić, wydają się właśnie spełniać.



LOTERIA

WYKLARUJ SOBIE KUCHNIĘ MARZEŃ!



nagroda główna

20 000

na Twoją
wymarzoną
kuchnię
zł

nagrody tygodniowe



x1
robot
KitchenAid

10x
na kuchenne
dodatki

300 zł

1

Kup dowolne **Masło
Klarowane Mlekovita**
i zachowaj dowód zakupu.

2

Wypełnij formularz
zgłoszeniowy na
www.loteriaklarowane.pl

3

Twoje zgłoszenie **weźmie
udział w losowaniu nagród
tygodniowych i głównej!**

Sprzedaż promocyjna i przyjmowanie zgłoszeń: 01.10.2025 - 31.01.2026 r. Loteria promocyjna dla osób powyżej 18 roku życia.
Organizator: First Line Polska sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie. Regulamin loterii: loteriaklarowane.pl

FOTOkomentarz tygodnia

11 LISTOPADA,
WARSZAWA

Marsz Niepodległości – jak co roku – okazał się kulminacyjnym momentem obchodów rocznicy odzyskania suwerenności w 1918 roku. Co najmniej 100 tysięcy osób przeszło przez centrum Warszawy, demonstrując swój patriotyzm oraz niechęć do przeciwników politycznych. W przeciwieństwie do lat wcześniejszych w marszu wzięli udział przedstawiciele wszystkich najważniejszych ugrupowań prawicowych, łącznie z Jarosławem Kaczyńskim, który w latach poprzednich wołał tego dnia wyjeżdżać do Krakowa. Sygnał zmiany układu sił na prawicy?

FOT. PAP/MARCIN OBARA



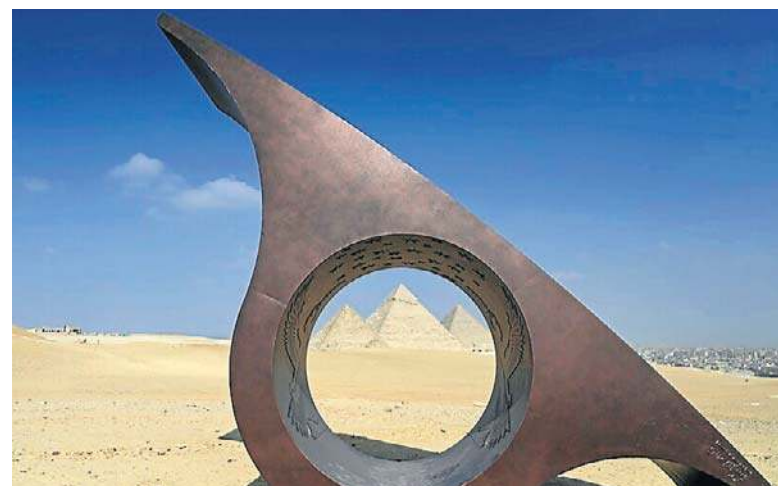
FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

12 LISTOPADA, WARSZAWA **Minęło 100 dni od zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Przy tej okazji prezydent się uaktywnił. Wziął udział w Marszu Niepodległości, wręczył odznaczenia (m.in Sławoszowi Uznańskiemu-Wiśniewskiemu), odmówił całej serii nominacji – sędziom oraz oficerom służb. I podgrzał polityczne emocje**



FOT. PAP/EPA/MOHAMMED BADRA

10 LISTOPADA, FRANCJA **Były prezydent Nicolas Sarkozy wysiada z auta przed domu po tym, jak zwolniono go z więzienia. Został skazany na pięć lat, ale w zakładzie karnym spędził tylko trzy tygodnie**



FOT. PAP/EPA/MOHAMED HOSSAM

11 LISTOPADA, KAIR **Jedna z prac wystawionych na piątej edycji wystawy Art d'Egypte. Artysty z całego świata przedstawiają swoje dokonania w bezpośrednim sąsiedztwie piramid. Robi wrażenie!**

PULS

#190

Depresja nie jest lenistwem. Najbardziej rani unieważnianie,
mówienie, że trzeba wziąć się w garść i wszystko minie
Str. 16-17



Agaton Koziński

MARSZAŁEK SEJMU
I MIT O TRAMPOLINIE

Na dziesięć kadencji Sejmu (numeracja jest prowadzona od 1991 r.) tylko trzy razy niższa izba parlamentu pracowała przez cały okres z jednym marszałkiem. Było tak w pierwszej kadencji (Wiesław Chrzanowski), trzeciej (Maciej Płażyński) i dziewiątej (Elżbieta Witek). Przy czym Sejm pod Chrzanowskim pracował zaledwie dwa lata, a później został rozwiązany, więc też trudno zaliczyć mu pełny okres rozliczeniowy. Pod względem trwałości Płażyński i Witek są niedoścignieni. Rekord Witek (łącznie pełniła tę funkcję przez cztery lata i trzy miesiące) w najbliższych dekadach pobity nie zostanie. Jeśli w ogóle.

W latach 90. zmiany na tym stanowisku były konsekwencją zmian politycznych - zmieniały się koalicje, pojawiali się nowi premierzy, a efektem tych przetasowań była karuzela marszałków. Później trwałość sojuszy rządowych się ustabilizowała - ale szefowie Sejmów dalej się rotowali, tylko w siódmej kadencji (lata 2011-2014) było ich aż trzech. Przepiękny i przeogromny gabinet marszałka przy Wiejskiej („Można by tutaj jeździć na wrotkach” - skomentował jego rozmiar jeden z marszałków, gdy zobaczył moje zaskoczenie jego wielkością) to chyba najbardziej gorące miejsce w krajowej polityce. Cecha charakterystyczna kultury politycznej III Rzeczypospolitej.

*

Polską politykę ery nowożytną (czyli po 1989 r.) można podzielić na dwa etapy: amatorski i profesjonalny. Ten drugi zaczął się w 2001 r., kiedy znówelizowano ustawę o partiach politycznych wprowadzając dla nich subwencje z budżetu państwa. Na czym polega różnica? Choćby na trwałości koalicji rządowych. Przed 2001 r. tylko raz jeden premier rządził przez całą kadencję. Po tej dacie już dwa razy się zdarzyło, że jedno ugrupowanie utrzymywało władzę przez kadencje dwie. Od 20 lat te same dwie partie zajmują dwa pierwsze miejsca we wszystkich wyborach - od samorządowych po prezydenckie. Widać, jak stałe finansowanie z państwowej kasy ustabilizowało krajową politykę.

W okresie amatorskim funkcja marszałka służyła przede wszystkim jako element układanki koalicyjnych. W okresie profesjonalnym przestało to być już tak istotne (choć ten element całkiem nie znikł, vide zamiana Szymona Hołowni z Włodzimierzem Czarzastym), rolę marszałka stało się przede wszystkim pilnowanie porządku. Nie przypadkiem w historii III RP najdłużej tę funkcję pełniła była nauczycielka.

*

Ze stanowiskiem marszałka wiąże się też mit: że na tym stanowisku można się zbudować politycznie. Jako przykład wskazuje się Płażyńskiego, który w Sejmie zdobył rozpoznawalność, sympatię, a później wykorzystał je współzakładając Platformę Obywatelską. Marszałkowanie stało się też trampoliną do prezydentury dla Bronisława Komorowskiego. Ale tutaj lista sukcesów politycznych marszałków się kończy. To stanowisko nie pomogło się odbudować Radosławowi Sikorskiemu, nie zmieniło pozycji politycznej Marka Jurka, Ludwika Dorna i Marka Kuchcińskiego. Trudno powiedzieć, by wypromowało ono Ewę Kopacz czy Małgorzatę Kidawę-Błońską. Wreszcie Hołownia, który właśnie się żegna z tą funkcją. On ewidentnie liczył na to, że będzie drugim (po Komorowskim) marszałkiem, który przeprowadzi się do Pałacu Prezydenckiego, ale w wyborach nie zdobył nawet 5 proc. głosów. Taka to trampolina z tego marszałkowania.

O czym powinni pamiętać wszyscy ci, którzy uważają, że teraz rozkwitnie kariera polityczna Włodzimierza Czarzastego i kierowanej przez niego Nowej Lewicy.

Adam Bula

NAWROCKI: ŻEBY NIE BYŁO
NICZEGO?

Zawsze mnie zastanawia, co mają w głowie ludzie, którzy ustawicznie robią więcej tego samego w nadziei na uzyskanie innego efektu. Rzecz będzie o taktyce, bo w zakresie strategii zmianę modus operandi mamy radykalną: po 10 latach prezydenta Dudy, który podpisywał wszystko, mamy już 100 dni pana Nawrockiego, który długopis wyrzucił przez okno, zapowiadając, że nie podpisze już niczego.

Co do taktyki więc, Karol Nawrocki rozgrzewał się, wetując mniej więcej jedną ustawę na tydzień - 13 mu się już ich uzbierało. Poprzeczka została podniesiona, gdy nie podpisał 136 nominacji na pierwszy stopień oficerski w służbach wywiadowczych. W środę zaś (12.11) Karol Nawrocki ogłosił, że odmawia podpisania 46 nominacji sędziowskich. Co więcej, zapowiedział, że nie podpisze przez 5 lat żadnej nominacji sędziemu, który będzie orzekał nie tak, jak się prezydentowi podoba.

Do tego jeszcze wrócimy, bo nie da się uniknąć wycieczki na uparcie skomplikowany teren rozważań: co wynika z konstytucji i co prezydent w związku z tym może, a czego nie.

Na razie skupmy się na oczywistym stwierdzeniu, że Karol Nawrocki uważa, że może więcej niż komukolwiek dotąd przychodziło do głowy. Pomysł na tę prezydenturę, by metodą faktów dokonanych rozszerzać zakres ustrojowych możliwości urzędu, był oczywisty - i niespecjalnie ukrywany - od początku. Zaskakuje z pewnością jednak tempo i styl niepolitego.

Z wetowania ustaw robi się na razie po prostu bałagan, jak w przypadku ostatniego, gdy Karol Nawrocki wywrócił plan utworzenia pierwszego od 25 lat parku narodowego - Doliny Dolnej Odry. Oczywiście, dopóki armia usłużnych wyjść będzie zapiewać, że to był pomysł dobry dla Niemców, bo blokował rozwój żeglugi na Odrze, nie wygląda to źle. Chyba że ktoś poświęci 5 minut na sprawdzenie, że tory wodne na Odrze z parku zostały wykluczone na wstępie. Ale kto ma na to czas i siły w narastającym jazgocie?

Zmiany w ustawie o zbiorowym zaopatrzeniu w wodę i odprowadzaniu ścieków: na stronie kancelarii prezydenta znajdziemy o tym zdanie, że

nowe przepisy to nadregulacja obciążająca samorządy i wspólnoty mieszkaniowe dodatkowymi obowiązkami. Kto i gdzie doczyta, że chodziło o wprowadzenie, opóźnionej już i tak o 3 lata, unijnej dyrektywy, zaostrzającej zasady monitorowania jakości wody? I że bez tej ustawy Polska będzie płacić 141 tysięcy euro kar? DZIENNIE!

Mógłbym tak w zasadzie o każdym wecie, no ale kogo to obchodzi, zwłaszcza że to nie domniemy wyskoczy z kasy.

I zwłaszcza że ludowi podoba się na razie taki „silny prezydent”. W najnowszym, publikowanym przez „Politykę” badaniu, aż 58 procent Polaków uważa, że rząd powinien wysłać do prezydenta projekty ustaw przed ich przyjęciem, a tylko 25 proc. jest innego zdania. Że to nam na skróty zmieni ustrój - a sorry, to rzeczywiście niepotrzebnie znów wtrącone, trudne słowo.

Bo w zakresie słów jesteśmy na etapie wszystkim się podobającego ryku: „Czołem, żołnierze!”. I to działa. Ilu w końcu się nabiera kumpli i rodzi tych 136 niedoszłych oficerów, których duży pałac wziął na zakładników w wojence o wpływ na służby i tęsknocie szefa BBN do świeżych teczek personalnych? Ilu obecnych i potencjalnych wyborców Karola Nawrockiego w ogóle ogarnie, z czym od decyzji o blokowaniu wybranych nominacji sędziowskich mamy do czynienia?

Zresztą, spróbujmy: prezydent może nie podpisać sędziemu nominacji, to jest poza sporem. Kłopot w tym, dlaczego tego nie robi. Jeśli np. ma informację, że delikwent ukradł kielbasę (przykład prof. Matczaka) to OK - będzie to efekt uprawionej oceny moralnej postawy sędziego. Ale Karol Nawrocki mówi: „Uważam, że tylko ja dobrze uważam, jaki jest stan prawny w Polsce (np. w kwestii statusu neosędziów) i każdy, kto sądzi inaczej, w mojej Polsce» sobie nie posądzi, a przynajmniej długo nie awansuje”. Co zasadniczo jest dobrą informacją tylko dla złodziei kielbasy i innych dóbr, to w bałaganie, jaki się dopiero robi, nie ma szans, żeby ich procesy za złodziejstwo kiedykolwiek się skończyły, jeśli kiedyś się zaczną.

A wracając do początku: dlaczego dziwi mnie ludzie, którzy wrzucają do garnka coraz więcej tych samych składników, oczekując, że rosół będzie smakował inaczej? Bo jest dość wyraźna, lecz nie tak wielka różnica między „sprawczością”, którą Karol Nawrocki dziś tak podnieca swoich marzących o powrocie do władzy zwolenników, a szarżowaniem, które zwykle kończy się na ścianie. A wyborów nie da się wygrać bez „normalsów”, a oni nie przepadają za przypałami.

Nasi wielcy poprzednicy – Józef Piłsudski i Roman Dmowski, których wszystko dzieliło, w potrzebie potrafili współpracować; teraz, gdy wojna u granic, przydałoby się więcej tego ducha uprawiać, a przynajmniej tego, żebyśmy się nawzajem nie wykluczali z grona patriotów

Międzynarodowy sukces polskiej marki. 2000 sklepów Sinsay

Sinsay – najmłodsza marka w portfolio gdańskiej grupy LPP – świętuje otwarcie 2000. sklepu w kazachskim Turkiestanie. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy marka dwukrotnie zwiększyła skalę działalności, utrzymując średnie tempo dwóch otwarć dziennie. Nowy lokal ma 766 m kw. i wpisuje się w strategię budowy zasięgu od dużych aglomeracji po miasta liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców. Marka jest obecna w 24 krajach, a wkrótce zadebiutuje w kolejnych krajach Europy i Kaukazu.

W 2025 r. Sinsay uruchomił blisko 30 dużych sklepów

(powyżej 1000 m kw.) m.in. w Polsce, Rumunii, Włoszech, Chorwacji, Kosowie i na Węgrzech. Największy z nowych lokali – 1592 m kw. – działa w greckim Chalandri, a rekord sieci należy do warszawskiej Galerii Północnej (2666 m kw.). Marka skutecznie działa zarówno w dużych metropoliach, jak i na rynkach w fazie wzrostu.

Od marca 2024 r. liczba lokalizacji została podwojona, a tylko w 2025 r. otwarto ponad 500 nowych salonów – w dużych miastach i mniejszych ośrodkach. Rozwój wpisuje się w strategię LPP, która zakłada przyspieszenie ekspansji zagranicznej i wzmocnienia obecności na rynkach o wysokim potencjale.

Kluczowym elementem rozwoju polskiej marki jest zapewnienie spójnego doświadczenia omnichannel, łączącego sprzedaż stacjonarną i online. „Przekroczenie granicy 2000 salonów jest efektem konsekwentnej realizacji naszego planu rozwoju i optymalizacji sieci sprzedaży. Sukces Sinsay pokazuje, że obrana strategia działa – potrafimy rosnąć zarówno tam, gdzie rynek jest już ukształtowany, jak i tam, gdzie dopiero nabiera tempa. Ekspansja to nie tylko liczby – to odpowiedź na zmieniające się potrzeby konsumentów” – mówi Marcin Piechocki, wiceprezes

LPP i dyrektor zarządzający Sinsay.

Marka przeszła długą drogę od debiutu w 2013 r., kiedy koncept skierowany był przede wszystkim do nastolatków. Dziś oferuje kolekcje dla całej rodziny, opierając się na podejściu Design&Value, czyli połączeniu atrakcyjnego wzornictwa z dobrą relacją ceny do jakości. Równolegle Sinsay rozszerzył asortyment poza modę: produkty non-fashion odpowiadają za 50% sprzedaży i obejmują akcesoria, wyposażenie wnętrz oraz produkty codziennego użytku. Szeroki koszyk zwiększa użyteczność oferty i częstotliwość wizyt.

„Nie stawiamy na jeden region czy jeden model – rozwijamy się tam, gdzie widzimy potencjał i gdzie możemy najlepiej odpowiedzieć na potrzeby klientów. Azja Centralna, Europa Południowa, Europa Środkowo-Wschodnia – każdy z tych regionów ma swoją specyfikę, a my potrafimy się do niej dostosować” – dodaje Piechocki.

Otwarcie 2000. salonu Sinsay stanowi potwierdzenie sukcesu polskiego producenta odzieży. LPP dynamicznie rozwija się na zróżnicowanych rynkach globalnych. W najbliższych miesiącach priorytetem pozostanie konsekwentne zwiększanie zasięgu, dopasowanie formatów i asortymentu do lokalnych warunków oraz wejście na kolejne rynki – Gruzję i Mołdawię.



LONDYN

KUOPIO

OSKEMEN

4693 KM

5457 KM

ABU DHABI

**Polska firma,
międzynarodowy sukces!**

5 MAREK
44 KRAJE
3000 SKLEPÓW

LPP | RESERVED | CROPP | HOUSE | MOHITO | sinsay

Możesz mieć gorszy dzień, ale kiedy konkretne objawy trwają co najmniej dwa tygodnie, to najprawdopodobniej chorujesz na depresję. Co dziś o niej wiemy, co działa w leczeniu i co w Polsce jest naprawdę dostępne – mówi dr Piotr Krawczyk, psychiatra, autor książki „Zrozumieć depresję”

Anita Czapryn

DR PIOTR KRAWCZYK: DEPRESJA NIE JEST LENISTWEM. NAJBARDZIEJ RANI UNIEWAŻNIANIE

Jaka jest pana definicja depresji?

Taka, jaka obowiązuje w tej chwili, a wypracowana jest od dawna w oparciu o różnego rodzaju dane i konsensus. Ta definicja mówi, że depresja to zaburzenie psychiczne polegające na występowaniu kilku objawów; w zależności od szczegółów mówimy o dziewięciu albo dziesięciu, z których nie wszystkie muszą wystąpić naraz, by spełnione były kryteria. Te objawy są bardzo konkretne i muszą pojawiać się niemal codziennie przez co najmniej 14 dni.

Jakie to objawy?

Można je podzielić na główne i dodatkowe. Do głównych należą obniżenie nastroju, czyli nastrój depresyjny, w skrócie możemy powiedzieć smutek czy przygnębienie, oraz utrata zdolności do odczuwania przyjemności albo jej zmniejszenie, inaczej mówiąc: spadek zainteresowań i czerpania radości z przyjemności. Do pozostałych objawów należą między innymi zaburzenia koncentracji, poczucie niskiej wartości, utrzymujące się poczucie winy, zaburzenia snu, zaburzenia apetytu, a także obniżenie energii, a mówiąc nietylko technicznie: duże zmęczenie.

W swojej książce „Zrozumieć depresję” pisze pan we wstępie, że to jedna z najczęstszych, ale też najbardziej niezrozumiałych chorób. Jest powszechna – może dotknąć każdego, niezależnie od płci, wieku czy momentu życia. Czego wciąż o depresji nie wiemy?

Wydaje mi się, że nie wiemy wielu rzeczy, natomiast nie chcę wpadać w pesymistyczne tony ani filozofować. Nawijając do tego, co pani zacytowała, depresja jest niezrozumiała dlatego, że należy do zaburzeń emocji. Z jednej strony wszyscy mamy emocje, więc wydają

nam się one codziennością, ale kiedy się zaburzają, niekoniecznie potrafimy je rozpoznać; to może umykać naszej uwadze. Z drugiej strony rozpoznawanie emocji nie jest czymś, z czym człowiek się rodzi; tego się uczymy, od bliskich i od reszty ludzi. W związku z tym czasem mamy trudność z rozpoznawaniem świata emocjonalnego. Dlatego depresja, moim zdaniem, jest tak trudno rozpoznawalna i tak niezrozumiała.

Słyszymy o różnych rodzajach depresji, np. poporodowej. Czy są jeszcze jakieś inne? Na przykład depresja alkoholowa?

O alkoholowej nie słyszałem. Generalnie jest zasadnicza różnica między szeroko rozumianym, ogólnym pojęciem złego samopoczucia a depresją. Depresja to jednak bardzo konkretne zjawisko. Ono czasem jest trudne do zdefiniowania albo do znalezienia u danego pacjenta, ale pozostaje zjawiskiem konkretnym. Co do jej rodzajów, to stoję na stanowisku, że jeśli przyjmujemy definicję, którą podałem, to depresja jest jedna. Trwają na ten temat bardzo duże spory. Myślę, że to dobrze, że tak się dzieje, ale formalnie depresja jest jedna. Natomiast może mieć różne aspekty. Możemy zobaczyć, że niektóre depresje pojawiają się w jakimś konkretnym czasie, na przykład zaraz po porodzie albo o danej porze roku. W tym pierwszym wypadku mówimy o depresji poporodowej i rzeczywiście taki rodzaj, czy podtyp depresji, istnieje. W tym drugim mówimy o depresji sezonowej, czyli ogólnie mówiąc o sezonowym zaburzeniu nastroju, i taki podtyp też istnieje.

Ion dotyczy właśnie tej pory roku, która nadeszła, czyli jesieni?

Dobre pytanie. Tak to kojarzymy i wydaje się, że najczęściej rzeczywiście depresja sezonowa pojawia się jesienią.

Natomiast to wcale nie jest takie oczywiste. Badania, ale też i moje doświadczenie, pokazują, że są osoby, które chorują na depresję co roku albo niemal co roku, ale na przykład tylko latem albo tylko wiosną, i dla nich to jest charakterystyczne. Jeżeli jednak spojrzymy z lotu ptaka na ogólną populację, to rzeczywiście jesień jest czasem najtrudniejszym. Jesień i zima.

Skąd się bierze depresja?

To dobre pytanie, ale też trudno na nie znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Mam pewne pomysły, natomiast z całą pewnością muszę powiedzieć, że nie ma jednej przyczyny. Nie da się też wskazać jakichś konkretnych, uniwersalnych przyczyn. W wypadku każdego człowieka, który przyjdzie do lekarza psychiatry, możemy spróbować ustalić dla niego właściwą przyczynę. Jeśli jednak chodzi o ogólne sformułowanie przyczyn, to mamy pewne trudności, bo jest ich kilka. Jest na przykład znana od lat 70. tzw. hipoteza neuroprzekaznikowa, która zakłada, że w mózgu osoby chorującej na depresję dochodzi do pewnej nierównowagi, niedoboru pewnych substancji chemicznych zwanych neuroprzekaznikami, które są potrzebne do zdrowego funkcjonowania mózgu i umysłu. To hipoteza jedna z wielu, dlatego że wiemy, iż nie wyjaśnia bardzo wielu innych zjawisk w ramach depresji. Nie wyjaśnia też do końca pewnych tajemnic związanych z leczeniem. Jak na przykład z tym, że niektóre leki działają,

a inne nie. Inna hipoteza to genetyka: widzimy, że depresja pojawia się w obrębie rodzin; jeśli w rodzinie chorują osoby na depresję, to zwiększa się ryzyko, że kolejne osoby też zachorują. Jednocześnie nie udało się ustalić żadnych konkretnych genów; na pewno można powiedzieć, że nie mamy genu depresji. Wydaje się, że to coś bardzo skomplikowanego i wielogenowego. Inną potencjalną hipotezą jest hipoteza zapalna, która mówi, że pewne substancje zapalne, różnego rodzaju cytokiny, tzw. interleukiny i inne substancje chemiczne, mogą mieć wpływ na mózg. Znamy je, bo odczuwamy ich efekt, kiedy jesteśmy np. przeziębieni. Wtedy czujemy zmęczenie, boli nas ciało i mięśnie, mamy gorączkę. One w depresji nie wywołują przeziębienia ani gorączki, ale mogą się pojawiać wiemy, że wykładniki stanu zapalnego w depresji są podwyższone. To są przyczyny, które wymieniałem, ale jest co najmniej kilka innych: jest choćby przyczyna „kortyzolowa”, związana ze stresem.

Jakich odpowiedzi szukają u pana chorzy na depresję, a jakich ich bliscy? Czy to się różni?

Trochę może się różnić. Chorzy na depresję zadają bardzo różne pytania i starałem się na nie odpowiedzieć w książce. Napisałem ją, mając w głowie przede wszystkim pacjentów, którzy do mnie przychodzą, i pytania, które zadają. To są pytania, które ostatecznie sprowadzają się

do tego, czy wyzdrowieją i to jest pytanie sensowne. Wtedy wspólnie się zastanawiamy, skąd się u nich depresja wzięła, jak mogą sobie pomóc; takie pytania też padają. Natomiast rodziny reagują bardzo różnie. Można powiedzieć, że część rodzin nie jest zainteresowana zadawaniem pytań i to jest coś, co chciałbym, żeby uległo poprawie. Te rodziny, które pytają, to na przykład pytają o to, czy one jakoś zawiąły, czy przyczyna leży w nich, a z drugiej strony pytają, jak mogą pomóc.

Czy jest coś, co w rozmowie o depresji odstrasza? Czy bliscy boją się o niej rozmawiać?

Myślę, że w rozmowie o depresji jest trochę tematów tabu. Wynikają z tego, co dzieje się w mediach społecznościowych i w ogóle z tego, co wiemy o depresji, albo co nam się wydaje, że wiemy. Pierwszy temat to sytuacja, kiedy rodziny mówią, że rozumiemy, iż ktoś choruje na depresję, ale nie potrafimy zrozumieć, że leczenie jest tak skomplikowane i może trwać długo. Nie bardzo rozumiemy, że osoba chora rzeczywiście nie ma siły, na przykład przez kilka miesięcy.

Że to nie depresja, tylko lenistwo?

Tak. I bliscy wiedzą, że to trochę niefajnie zadawać pytania tego typu, ale je zadają. To dobrze, można zadawać takie pytania. Inne obawy rodzin to wątpliwość, czy jeśli zaczną rozmawiać z osobą chorującą o depresji, to nie wywołają pogorszenia jej stanu: czy samo używanie słów „smutek”, „przygnębienie”, „płacz” nie sprawi, że ta osoba poczuje się gorzej. To jest z jednej strony wyraz troski, a z drugiej zupełnie nieuzasadniona obawa. Tematem tabu są też oczywiście myśli samobójcze i różnego rodzaju gesty samobójcze, które mogą się zdarzać u osób z de-

presją. Natomiast można o nich rozmawiać i umiejętna rozmowa jest bardzo pomocna.

Pisze pan w książce, że myśli o śmierci nie zawsze stanowią objaw tej choroby. Gdzie jest granica, po której natychmiast trzeba reagować?

Jeśli pyta pani o to, kiedy powinniśmy reagować my, osoby niechorujące na depresję, to myślę, że reagowanie może mieć różne postaci. Jeżeli mamy osobę bliską, która mówi nam, że nie chce żyć, to adekwatną reakcją jest zapytać ją o samopoczucie i ustalić, o co tak naprawdę chodzi: „Dlaczego nie chcesz żyć?”. Natomiast jeżeli ta osoba, która choruje na depresję, mówi, że właściwie nie widzi żadnego sensu i chciałaby popełnić samobójstwo, to reakcja powinna być mocniejsza. Mamy możliwość pójścia z tą osobą do psychiatry albo nawet wezwania karetki i często to bywa bardzo pomocne, szczególnie w sytuacjach zagrażających, kiedy widzimy, że ta osoba przygotowuje się do podjęcia próby samobójczej.

Częściej chorują na depresję kobiety, natomiast samobójstwa częściej popełniają mężczyźni. Dlaczego tak jest?

To pytanie jest badane i częściej mamy już na nie odpowiedź. Kobiety chorują częściej, bo częściej spełniają kryteria depresji. Wydaje się natomiast, że mężczyźni podejmują próby samobójcze częściej pod wpływem substancji psychoaktywnych, głównie alkoholu, i częściej mają w swojej emocjonalności element autogresywny oraz większą decyzyjność. Rzeczywiście mężczyźni często wybierają metody odebrania sobie życia, które są zdecydowanie groźniejsze. Między innymi dlatego mężczyźni, którzy podejmują próby samobójcze to częściej są to próby skuteczne.

W ROZMOWIE O DEPRESJI JEST TROCHĘ TEMATÓW TABU. WYNIKAJĄ Z TEGO, CO WIEMY O DEPRESJI, ALBO CO NAM SIĘ WYDAJE, ŻE WIEMY



FOT. 123RF

Dr Piotr Krawczyk: Jeśli umysł podpowiada, że szklanka jest do połowy pusta i wszystko jest czarne, trzeba próbować poszukać myśli alternatywnych. To są techniki, które wykorzystują terapeuci

W książce pisze pan, że depresja to choroba ludzi młodych, ale przecież dotyka też osób przepracowanych, wypalonych pracowników korporacji, samotne matki, a także ludzi starszych i samotnych. Gdzie dziś jest jej najwięcej i jak wpłynęła na to pandemia?

Mamy bardzo mocne statystyki, że pandemia, w swoim najmocniejszym okresie w latach 2020–2021, zwiększyła w niektórych krajach częstość zgłaszania się do psychiatry nawet o 30–40 procent. To był olbrzymi wzrost zachorowań lub rozpoznania depresji. Eksperti zastanawiają się, na ile wpływ miała sama pandemia i stan zagrożenia, który przecież był naprawdę przerażający, a na ile stało się to w związku z pojawieniem się możliwości technologicznych. Nagle okazało się, że możemy odbywać wizyty online i w związku z tym ja również u siebie widziałem grupę pacjentów, która nagle się pojawiła, a sami mówili, że nigdy by nie przyszli do psychiatry, bo nie przyjechaliby z innych miejscowości, a tak to mogli skorzystać. To było dobre. Jeżeli chodzi o częstość zachorowań i o to, u kogo pojawia się depresja, to takie dane również mamy. Statystyki ogólne mówią, że szczyt zachorowań dotyczy osób w wieku 20–30 lat, a to rzeczywiście są młode osoby. Drugi szczyt zachoro-

wań dotyczy osób dużo starszych: po sześćdziesiątce, a nawet po siedemdziesiątce czy osiemdziesiątce. Natomiast najczęściej jest to choroba osób młodych i w tej chwili również dzieci i młodzieży. U nich depresja pojawia się coraz częściej.

Chciałam też pana zapytać o różnego rodzaju kłamstwa związane z depresją. O jednym już powiedzieliśmy: że bliscy uważają, iż ktoś się leni. Spotkałam się z sytuacją, gdy matka mówiła o synu, że cacka się ze sobą, bo kiedyś człowiek wstawał rano, nie myślał, że mu się nie chce, tylko trzeba było pracować i tyle.

Trudno mi powiedzieć, jak to wygląda w poszczególnych przypadkach, ale jeśli pyta pani ogólnie: jeżeli ktoś choruje na depresję, to z całą pewnością nie jest tak, że on sobie to wybrał albo że jest leniwy. Pacjenci również o to pytają. Pytają wprost, czy może im się coś nie pomyliło albo czy mnie się coś nie pomyliło w diagnozie, bo może oni po prostu są leniwi. Natomiast różnica, nawet słownikowa, między lenistwem a depresją jest taka, że lenistwo to jednak jakiś rodzaj wyboru. Lenistwo ma odcień pewnej przyjemności, mówimy „poleniuchuję sobie” i dla wielu osób to bywa przyjemne, możemy rzeczywiście

wybrać ten stan. Depresja czy inne zaburzenia psychiczne nie są kwestią wyboru. Jeżeli nie możemy rano wstać z łóżka, to nie dlatego, że jesteśmy leniwi, tylko dlatego, że chorujemy na depresję. Większość moich pacjentów chorujących na depresję mówi, że oni by już chcieli wstać z łóżka, chcieliby pójść do pracy, ale nie mają siły. I tak na to odpowiadam.

Albo na przykład boją się leków, bo nie chcą się uzależnić od antydepresantów i mówią o tym sami chorzy. Jak pan by na to odpowiedział?

Jeżeli chodzi o lekarstwa, można używać różnych argumentów i pacjenci często mówią o lęku przed uzależnieniem. Wtedy rozmawiamy o planie leczenia, na przykład: „Spróbujmy leczenia przez pół roku albo dziewięć miesięcy i zobaczymy, co będzie; sprawdzimy też, czy pojawia się jakieś uzależnienie”. Prawda jest taka, że leki przeciwdepresyjne, z punktu widzenia biologicznego i naszych doświadczeń są stosowane od dziesiątek lat. Te starsze to lata 70., a obecnie używane, najnowsze są z końca lat 80. i z lat 90. Mamy więc już około 30 lat użycia tych leków i na razie nie wskazuje na to, żeby nawet długotrwałe używanie powodowało uzależnienie. Przez uzależnienie rozumiemy sytu-

ację, w której człowiek musi używać leków, zwiększać dawki, a efekt jest coraz słabszy; to skrócowa definicja uzależnienia. Tego w przypadku leków przeciwdepresyjnych po prostu nie widzimy.

Dziś są też nowoczesne metody leczenia depresji. Tylko pytanie: co u nas jest realnie dostępne z tych nowoczesnych metod?

To pytanie, przy którym trzeba rozróżnić, co jest w ogóle dostępne, co jest łatwo dostępne, a co dostępne w ramach publicznej ochrony zdrowia. Jeżeli chodzi o nowoczesne metody, myślę, że nie skłamię, mówiąc, że mamy dostęp do wszystkiego; mamy pełne możliwości. Te metody, które stosuje się na całym świecie i uznaje za nowoczesne, to na przykład pręczyaszkowa stymulacja magnetyczna albo niektóre rodzaje leków, takie jak ketamina. Są też różne odmiany psychoterapii, nowe nurty; to wszystko są narzędzia obecnie dostępne. Najczęściej jednak są dostępne na rynku komercyjnym. Na pewno, jeśli chodzi o stymulację pręczyaszkową czy ketaminę, to metody przebadane i obecne w literaturze, ale nie są oficjalnie stosowane jako metody w publicznej ochronie zdrowia. Nowoczesne metody to także leki: mamy dziś bardzo nowoczesne preparaty i coraz

nowocześniejsze i one również są dostępne, nawet w publicznej ochronie zdrowia. Tutaj nie mamy się czego wstydzić. Natomiast w publicznej ochronie zdrowia mamy trochę mniej możliwości technicznych. Przyznam jednak, że byłbym zbyt surowy, gdybym powiedział, że jesteśmy do tyłu; rzeczywiście mamy różne rozwiązania, które, jak mi się wydaje, są w zupełności wystarczające. Problemem jest oczywiście finansowanie, liczba psychiatrów i psychoterapeutów oraz łatwa dostępność świadczeń. Nie jest łatwo znaleźć termin do psychiatry w publicznej ochronie zdrowia. To są wyzwania, które warto przezwyciężać, bo to rzeczywiście może pomóc leczyć depresję. A jeśli chodzi o stronę techniczną i merytoryczną: leki, psychoterapię i inne metody, to mamy tego w Polsce wystarczająco.

Jak pomagać ludziom z depresją? Jak ich pocieszać? Słowa „nie przejmuj się, jutro będzie lepiej” chyba nie zadziałają, podobnie jak „weź się w garść”. Co rani osoby z depresją, a jakie zdania im pomagają?

Myślę, że to wszystko, co pani wymieniła, jest właśnie raniące albo, nawet jeśli nie wprost raniące, to unieważniające. Podstawowa myśl osoby chorującej na depresję brzmi: „Nie będzie dobrze, jest beznadziejnie i nie będzie lepiej”.

A tu przychodzi ktoś bliski i mówi: „Żle myślisz, będzie dobrze”. Osoba chorująca odbiera to jako gest unieważnienia, może poczuć się niewysłuchaną. Takie wypowiedzi bywają zupełnie nieprzydatne. Tak zresztą kończą się różne relacje: pacjenci mówią mi, że mieli znajomych, ale oni w kółko powtarzali „będzie dobrze”, podczas gdy pacjent czuł, że to nierealne. Mija kolejny miesiąc i nie jest dobrze, więc dla własnego dobra przestaje się do nich odzywać. Często przydatna jest obecność. I ta obecność dla każdego wygląda trochę inaczej. Ja wyobrażam ją sobie tak: jeśli jesteśmy bliskimi osoby chorującej na depresję, to nie warto obchodzić się z nią jak z jankiem, bo to tacy sami ludzie jak inni. Możemy namawiać na różne rzeczy, czy prosić o drobne sprawy, ale z uwagą: jeśli odmówi – nie złościćmy się. Bierzmy pod uwagę, że może nie mieć siły wynieść śmieci czy zrobić zakupów. Pomoc polega na tym, że to uwzględniamy i nie nazywamy tej osoby złą albo leniwą. Jeśli chcemy pomóc, możemy zaproponować wspólne spędzenie czasu: wyjście do kina, na spacer, spotkanie na kawie. Jeśli odmówi, a ma do tego prawo, powiedzmy jej, że nam na tym zależy i że zadzwonimy, na przykład w środę o 18:00. I zrobmy to: zadzwonimy w środę o 18:00, na-

wet jeśli rozmowa znów nic nie wniesie, w tym sensie, że będzie podobna do poprzedniej. Osoby chorujące na depresję mówią, że sama obecność, to że ktoś się umówił i dotrzymuje obietnicy, pokazuje im, że są dla kogoś ważne. I to jest bardzo istotne.

Na końcu książki podał pan najważniejsze kroki, które warto podjąć, by sobie pomóc: wizyta u lekarza, ruch, danie sobie prawa do wolniejszego tempa, niewierzenie we wszystko, co podsuwa umysł, leki i szukanie wsparcia. Gdyby miał pan wybrać najważniejsze, niezbędne kroki, to co by pan powiedział?

Trudno wybrać, bo to są wszystkie te, które wymieniłem i dla jednych będzie to robienie kroków, a dla innych próba znalezienia alternatywnej myśli. Ludzie się różnią. Jedni zaczną terapię od ciała: spróbują zmienić dietę, poprawić rytm dobowy, wyjść na spacer i robić kroki. Inni powiedzą: „zacznę od zmiany myślenia”. Jeśli ich umysł podpowiada im, że szklanka jest do połowy pusta i wszystko jest czarne, spróbują poszukać myśli alternatywnych. To są techniki, które wykorzystują terapeuci, więc można w ten sposób pracować. Wydaje mi się, że to zbiór różnych zasad, z których każdy może wybrać i na początek zacząć od jednej z nich.

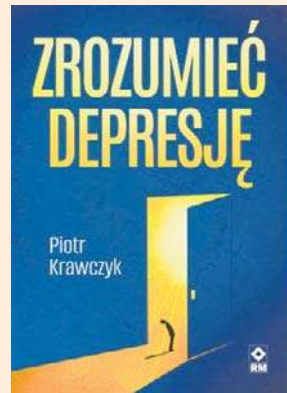
CV



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Dr Piotr Krawczyk

Lekarz psychiatra z ponad dziesięcioletnim doświadczeniem klinicznym. Pracował m.in. na Oddziale Chorób Afektywnych w Instytucie Psychiatrii i Neurologii oraz w Poradni Psychoonkologii Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie. Autor książki „Zrozumieć depresję”, jaka ukazała się nakładem Wydawnictwa RM.



TAJEMNICZE ZABÓJSTWO STUDENTKI. SPRAWA „SKÓRY” WCIAŻ NIEROZWIAZANA

To była jedna z najgłośniejszych spraw kryminalnych w wolnej Polsce. Makabryczna zbrodnia młodej studentki wstrząsnęła nie tylko Krakowem. Według specjalistów morderca inspirował się filmem „Milczenie owiec” i postacią „Buffalo Billa”, który zabijał kobiety i zdejmował z nich skórę. Śledztwo toczyło się latami. Robert J., oskarżony w tej sprawie, został finalnie uniewinniony

Dorota Kowalska

Historia krakowskiego Archiwum X zaczyna się nad Wisłą. To właśnie tu ma początek jedna z najgłośniejszych spraw w historii polskiej kryminalistyki. Makabryczne zabójstwo krakowskiej studentki religioznawstwa - Katarzyny Z.

- Gdyby nie ta sprawa, nie byłoby Archiwum X w takim wymiarze, w jakim powstało - wspominał Bogdan Michalec, były szef i współtwórca krakowskiego Archiwum X.

Dziwne znalezisko w Wiśle

Była środa, 6 stycznia 1999 roku. Około godziny 16 Mieczysław M., kapitan statku rzeczno-tytu typy Łoś, służącego do transportu kruszywa, zauważył, że jednostka traci moc. Byli niedaleko stopnia wodnego Dąbie na Wiśle w Krakowie. Załoga zacumowała barkę i poszła do domu, a zablokowaną śrubą postanowiła zająć się rano. Następnego dnia kapitan razem z pokładowym mechanikiem zabrali się za wyciąganie pogrzbaczem tego, co zatkało turbinę. Wyjęli skórę. Wezwali policję.

Bogdan Michalec był od początku w miejscu oględzin i prowadził tę sprawę od strony kryminalnej. Zabezpieczył statek i poczuł się jak w „Milczeniu owiec”. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z tego typu sprawą.

- Uświadomiłem sobie tam, przy tym statku: „Wiem, że nic nie wiem”. Mimo pewnych sukcesów w komendzie wojewódzkiej, a wcześniej w komisariacie, to było coś zupełnie nowego. Zrozumiałem, że muszę wejść w inny świat kryminalistyki - opowiadał mi swego czasu Michalec. - Pamiętam moment, kiedy przyjechał pewien lekarz z Zakładu Medy-

cyny Sądowej i stwierdził, że jest to kawałek świńskiej skóry. W pośpiechu wydawałem ten statek w obawie, że będę pośmiewiskiem krakowskiej policji. Świńska skóra! Dopiero sekcja wykazała jednoznacznie, że mamy do czynienia z jednym z najciekawszych przypadków na świecie - dodał.

Podczas sekcji w krakowskim Zakładzie Medycyny Sądowej patolodzy ustalili, że skóra należała do młodej kobiety. Została pieczołowicie odpreparowana od tułowia i odcięta na wysokości szyi i pachwin. Kształtem przypominała kobiece body, które - jak podejrzewali śledczy - sprawca mógł próbować na sobie zakładać. Sprawie, przynajmniej media, nadały kryptonim Skóra.

Kim była ofiara? To ustalono trochę później

Katarzyna Z., 23-latką, zaginęła prawie dwa miesiące wcześniej - 12 listopada 1998 roku. Dzień był mglisty, pochmurny i zimny. W dniu zniknięcia studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego umówiła się z matką o godz. 18 pod Przychodnią Psychiatryczną na osiedlu Uroczym w Krakowie-Nowej Hucie. Nie przyszła.

Kiedy nie pojawiła się na spotkaniu ani nie wróciła wieczorem do domu, zaniepokojona matka zgłosiła jej zaginięcie na policji. Ale Katarzyna Z. była dorosła, policjanci podeszli do tego zgłoszenia z dystansem. Może z kimś się spotkała, może wyjechała na kilka dni? Matka zaczęła szukać córki na własną rękę. Zgłosiła się po pomoc do krakowskich dominikanów, którzy prowadzili w Krakowie Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach. Kobieta obawiała się, że może Katarzyna dołączyła do którejś z sekt. Skąd takie przypuszcze-



23-letnia Katarzyna Z. zaginęła 12 listopada 1998 roku. W dniu zniknięcia studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego umówiła się z matką. Nie przyszła...

nie? Do końca nie wiadomo. Sprawą zajął się też prywatny detektyw. Katarzynę Z. widziano tu i tam, ale tak naprawdę nikt nie wiedział, gdzie podziewa się dziewczyna.

- Zawsze była spokojnym dzieckiem. Nigdy nie była bardzo otwarta, ekstrawertywna - opowiadała w mediach matka Katarzyny Z. Oczytana, mądra, godzinami mogły opowiadać o książkach czy obejrzanych filmach. Znajomi dodawali jeszcze: miła, ale skryta, tajemnicza, nieco nieśmiała.

Była bardzo związana z ojcem, ale ten ciężko zachorował i w końcu zmarł. Katarzyna została z mamą, załamała się po śmierci taty.

Ubiór w dniu zaginięcia: granatowa długa kurtka zapinana na metalowe klamry, czarne spodnie džinsowe firmy Masters, granatowy golf welurowy, czarne sznurowane trampki ze skóry”.

Przed zaginięciem Katarzyna Z. przeszła na dietę, przebarwiała ciemne włosy na blond, większą wagę przywiązywała do tego, co na siebie wkłada, ale matce nie przedstawiła żadnego mężczyzny.

Tożsamość skóry wyłowionej z Wisły potwierdziły jedne z pierwszych badań DNA wykonanych w Polsce. To była ona.

Trudne śledztwo, dziesiątki biegłych

Przypadków oskórowań jest na świecie niewiele, w Polsce to była chyba pierwsza tego typu sprawa.

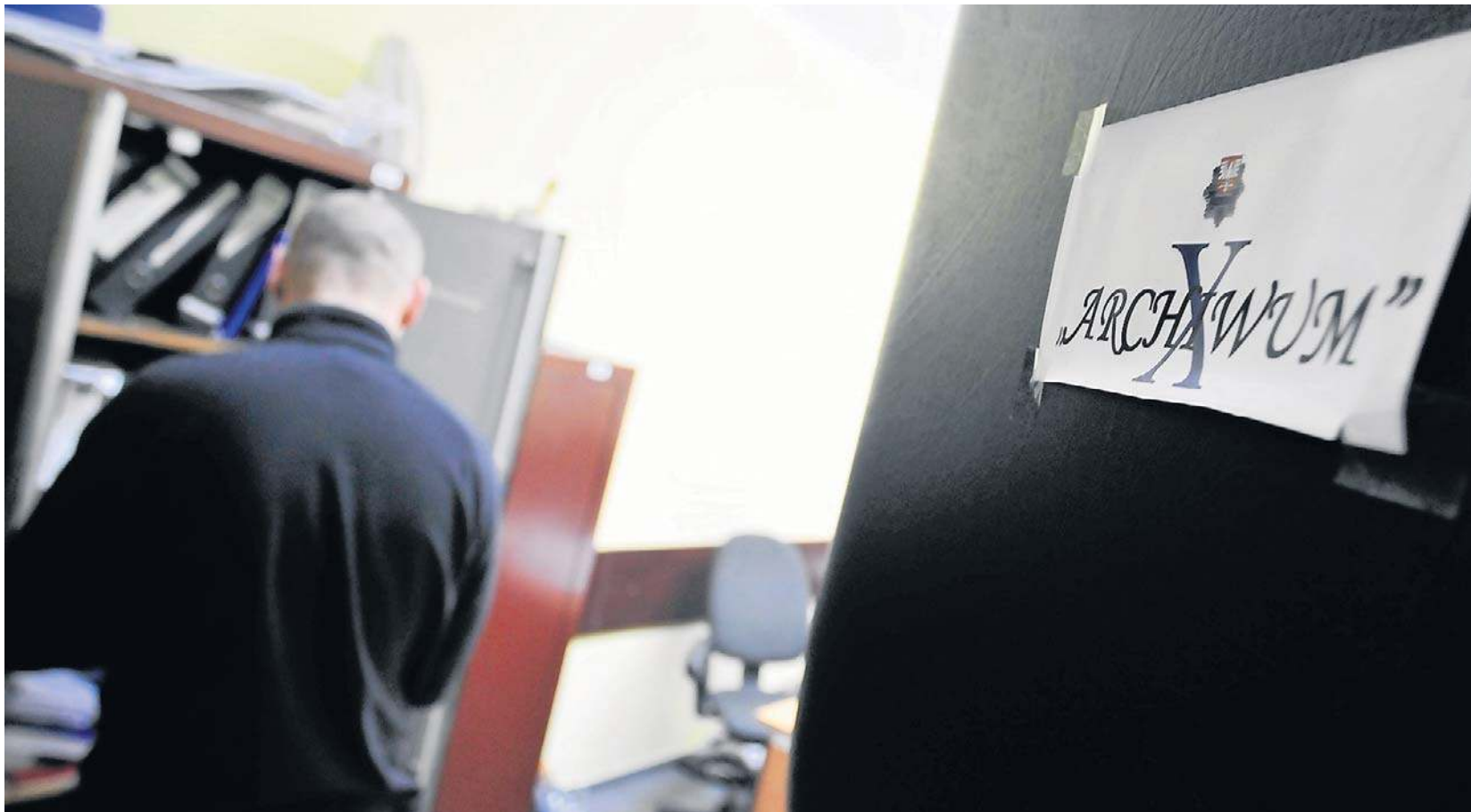
- Sprawę konsultowałem z kolegami z FBI przez ich przedstawiciela na Europę, doktora Thomasa Millera - opowiadał mi Bogdan Michalec. - Oni odkryli, że ludzie nieznający się, pochodzący z różnych środowisk, kultur, podobnie się zachowują, popełniają takie same czyny. Tak jakby ich oparował ten sam demon. Oczywiście są pewne różnice zewnętrzne, ale zawsze występują wewnętrzne podobieństwa i te ostatnie są decydujące - dodał były śledczy.

Krakowski zabójca szybko zyskał przydomek „Kuśnierz”. Przez lata był nieuchwytny. Po umorzeniu przez prokuraturę sprawa Katarzyny Z. trafiła właśnie krakowskiego Archiwum X (fachowa nazwa: Wydział Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych). W 2012 roku pojawiły się nowe dowody i śledztwo w sprawie studentki zostało wznowione. W 2017 roku policjanci zdecydowali, że mają wystarczająco wiele dowodów

przeciwko Robertowi J. Mężczyzna trafił do aresztu, usłyszał zarzut zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem. Jak przyznawali śledczy, był podejrzanym niemal od początku śledztwa, ale brakowało dowodów.

- Pociągnięcie do odpowiedzialności karnej sprawcy tej brutalnej zbrodni będzie możliwe dzięki wyjątkowo wyłożonej pracy prokuratorów prowadzących to postępowanie oraz funkcjonariuszy policji, jak również biegłych powołanych do opiniowania w tej sprawie. Musieli się oni zmierzyć z przestępczym działaniem, które dotąd było nieznane polskiej i zagranicznej kryminalistyce - mówiła krótko po zatrzymaniu podejrzanego Beata Marczak, wówczas zastępczyni prokuratora generalnego.

Prokuratura Krajowa podała natomiast, że „w sprawie tej przez wiele lat przeprowadzono żmudne czynności śledcze, które w konsekwencji doprowadziły do ustalenia sprawcy zabójstwa”. Prokuratorzy zaangażowali dziesiątki biegłych z Polski i zagranicy. Korzystali ze wszystkich najnowocześniejszych metod badawczych oraz zdobyczy nauki i techniki. Na ich zlecenie Laboratorium Ekspertyz 3D Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu po raz pierwszy na świecie sporządziło trójwymiarowy obraz zbrodni tylko na podstawie śladów pozostawionych przez sprawcę na tkankach ofiary. Dzięki badaniom Katedry Biologii Eksperymentalnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu udało się także wykryć związki chemiczne, które morderca podawał studentce. Takie badania najprawdopodobniej zostały wówczas przeprowadzone po raz pierwszy w historii polskiej kryminali-



FOT. WOJCIECH MATUSIK

– Gdyby nie ta sprawa, nie byłoby Archiwum X – wspominał Bogdan Michalec, były szef i współtwórca krakowskiego Archiwum X

styki. Na tej podstawie ustalono sposób zadawania ciosów przez mordercę i fakt, że mogła je zadawać osoba wyszkolona w określonych sztukach walki. Skrupulatnie zbadano wszystkie ślady pozostawione przez sprawcę, sposób jego działania i profil psychologiczny. Wszystkie tropy prowadziły do Roberta J.

Oskarżony twierdził, że jest niewinny

Kim jest Robert J.? To syna krakowskiego poety. Znał Katarzynę Z. Trenował kulturystykę i sztuki walki, odbył służbę wojskową w szpitalu zakonnym, tam pomagał w działającym wówczas prosektorium. Przez pewien czas pracował w Instytucie Zoologii, gdzie zajmował się skórowaniem zwierząt. Z Instytutu został zwolniony po tym, jak wymordował wszystkich króliki doświadczalne. W jego profilu psychologicznym biegli wskazywali sadyzm oraz skłonności do nękania kobiet. Po morderstwie przeszedł religijną fascynację. Ustalono, że odwiedzał grób zamordowanej dziewczyny.

Śledczy uważali, że Robert J. zabił Katarzynę Z. ze szczególnym okrucieństwem z motywacji wynikającej z zaburzeń preferencji seksualnych o cechach sadystycznych i fetyszystycznych. Torturował swoją ofiarę, dusił łańcuchem. Wcześniej podawał leki. Złamał jej też kość udową i miednicę, uderzał sztangą i talerzem kulturystycznym. Katarzyna Z. miała rany klute, rąbane i szarpane. Niespotykane okrucieństwo.

W 2020 roku ruszył proces Roberta J.

– Akt oskarżenia został skierowany przeciwko określonej osobie, którą oskarżyciel publiczny uznaje jako sprawcę tej okrutnej zbrodni – mówił dziennikarzom prok. Piotr Krupiński z Małopolskiego Wydziału Prokuratury Krajowej.

Pytany o dowody w sprawie przypominał, że wcześniej zdecydowano już, iż proces będzie toczyć się za zamkniętymi drzwiami, w związku z czym „na temat dowodów, ich mocy i zakresu oskarżyciel może przedstawić stanowisko tylko na sali rozpraw, nie na korytarzu sądowym”.

– W mojej ocenie dowody są bardzo mocne – zaznaczał prokurator. Oskarżycielem posiłkowym w sprawie była matka zamordowanej Katarzyny Z. W rozmowie z dziennikarzami przyznała, że oczekuje sprawiedliwego procesu, jednak nie liczy na to, że finał sprawy, na której rozwiązanie czeka już ponad 20 lat, przyniesie jej jakąkolwiek ulgę.

W śledztwie Robert J. zaprzeczał zarzutom i nie przyznawał się do winy. Przekonywał, że nie znał zamordowanej Katarzyny Z. Jeszcze przed zatrzymaniem dziennikarzom „Superwizjera” TVN udało się z nim porozmawiać – powtarzał, że nigdy nie spotkał młodej studentki z Krakowa.

– Nie czytam gazet, nie mam internetu, nie mam telefonu komórkowego, a telefon stacjonarny jest odwieszony od wielu miesięcy. Jestem wyizolowany społecznie całkowicie – mówił. Dociskany jednak, że przecież był widywany przy grobie Katarzyny w Batowicach, odpo-

wiedział: To nie jest przestępstwem.

W ocenie jego pełnomocnika, adw. Łukasza Chojniaka, stanowisko prokuratora w tej sprawie „było głęboko błędne”, a wnioski, które wysnuwała z analizy materiału dowodowego, były „niewłaściwe”. Jak dodawał, sprawa była skomplikowana i poszlakowa, a bezpośredniego dowodu na winę J. nie było.

Na wyrok czekały nie tylko rodziny

W sprawie „Skóry” była za to góra akt, czyli ponad 490 tomów w części jawnej i kolejne niejawne. Sam akt oskarżenia liczył 789 stron. Sąd dość szybko, bo w ciągu 2 lat, przesłuchał świadków, zapoznał się z opiniami biegłych, ale co się działo na sali rozpraw, nie wiadomo, bo proces był niejawnym. Nie wiadomo także, jakiej kary domagał się prokurator Piotr Krupiński i o co wnosili obrońca oskarżonego.

W charakterze świadków wezwano też rodziców Roberta J. Oboje, jako osoby najbliższe, odmówili składania zeznań. 80-letni Józef J., ojciec oskarżonego, rozmawiał z reporterką „Uwagi!” TVN – bronił syna.

– Żona spotkała się z synem kilka dni temu w areszcie śledczym w Krakowie. Syn jest bardzo zdenerwowany, płacze i krzyczy, że jest niewinny. Mówi, że go wrobiono i że nigdy nie widział tej kobiety na oczy. Powiedział, że jest bliski targnięcia się na swoje życie, dosłownie tak powiedział – opowiadał mężczyzna i podkreślał, że syn czuje się po prostu koźlem ofiarnym.

– On nie tylko nie był do tego zdolny, ale też nie jest – mówił Józef J.

Ponoć jako dziecko Robert J. był bardzo wesoły. Kiedy zaczął chodzić do szkoły podstawowej, zaczął się zmieniać: był otyły, inne dzieci dukały mu, a on nie najlepiej to znosił. Chował się do szafy, zamykał się w sobie. Do dwunastego roku życia Robert J. mieszkał z dziadkami. Karcili go, byli surowi, ale kochali wnuka.

Z relacji mężczyzny wynika, że jego żona, a matka Roberta J., przed laty niespodziewanie wyjechała do Kanady.

– Wtedy syn się załamał. Zaczął coś mówić do siebie. Zaczął szukać jakichś ludzi, którzy są w mieszkaniu, mimo że nikogo nie było. Był już wtedy dorosłym człowiekiem. Ale widząc, że tak jest, zacząłem szukać pomocy, wziąłem go do lekarza jednego czy drugiego – wspominał Józef J.

Według relacji ojca syn zażywał leki. Skończył szkołę zawodową, utrzymywał się z renty i uprawiał kulturystykę. Ojciec mieszkał z nim w bloku na krakowskim Kazimierzu do 31. roku jego życia. Potem Robert J. się wyprowadził.

– U nas nigdy nie było w domu żadnej kobiety i nie słyszałem, żeby chodził na randki. Tylko raz widziałem dziewczynę, ale on przywitał ją prawie w drzwiach. Powiedział jej: „15 minut spóźnienia. Dyskwalifikacja”. Wzięła książkę z jego biurka, walnęła go nią w głowę i wyszła. I tyle widziałem jego relacji z kobietami – przekonywał Józef J.

Sprawa miała charakter precedensowy i budziła po-

wszechne zainteresowanie mediów.

– Skoro mężczyzna jest w areszcie już blisko pięć lat, to trudno sobie wyobrazić, by nie było wyroku skazującego – mówił jeden z doświadczonych sędziów. Jednak nie dla wszystkich wina mężczyzny była przesądzona.

– Pamiętam sprawę i wyrok, bodaj z 1999 roku, Wojciecha B., oskarżonego o pięć zabójstw, tzw. Inkasenta. Materiał dowodowy prokuratury był olbrzymi, ale zapadł wyrok uniewinniający. Tu może być podobnie – wspominał znany krakowski adwokat.

W tym przypadku stało się jednak inaczej. We wrześniu 2022 roku mężczyzna został skazany na dożywocie. Wyrok był nieprawomocny. I okazało się, że to nie koniec tej historii, bo obrona, jak można się było spodziewać, odwołała się od wyroku.

W apelacji wnosiła o uniewinnienie Roberta J. Prawnicy J. wskazywali, że nie ma jednoznacznych dowodów na to, że ich klient jest winny. Prokuratura odpierała zarzuty, powołując się na zeznania świadków.

W październiku 2024 roku Sąd Apelacyjny w Krakowie uniewinnił Roberta J.

– Oskarżony w tym momencie jest osobą wolną, może opuścić salę rozpraw – orzekł sędzia Marek Długosz. Robert J. przebywał w areszcie od ośmiu lat.

– Jakkolwiek Sąd Apelacyjny nie mógł przekonać się do tego, że oskarżony na pewno tego czynu nie popełnił, tak z drugiej strony nie mógł się przekonać do tego, że na pewno go popełnił – tłumaczył w uzasadnieniu wyroku sędzia sprawoz-

dawca Wojciech Domański, dodając, że „nie ma lepszych lub gorszych uniewinnień”.

Wcześniej sędzia Marek Długosz podkreślił, że sąd nie ma absolutnej pewności, że Robert J. jest niewinny. W toczonym postępowaniu nie przekonano go jednak, że to właśnie on dokonał zabójstwa Katarzyny Z.

– Wyrok uniewinniający w tej sprawie zapadł, bo musiał taki zapaść wedle reguł prawa procesowego – powiedział, dodając, że sąd zdecydował się zastosować regułę dubio pro reo, zobowiązującą do rozstrzygnięcia na korzyść oskarżonego w przypadku tego rodzaju wątpliwości.

Pod koniec września 2025 roku do Sądu Okręgowego w Krakowie trafił wniosek o odszkodowanie za lata spędzone w areszcie zakończony uniewinnieniem. W imieniu swojego klienta mecenas Łukasz Chojniak domaga się 22,5 miliona złotych zadośćuczynienia.

– Wniosek dotyczy bardzo dolegliwego aresztowania, długotrwałego, podczas którego Robert przez długi czas był traktowany jako więzień niebezpieczny, bez prawa do kontaktu z rodziną, bez możliwości odpięcia zarzutu. Zdrowie Roberta, co dokumentujemy bardzo bogato, zostało przez postępowanie i tymczasowy areszt w sposób nieodwracalny zrujnowane. Uważamy, że państwo osobie niewinnej, której życie zostało zrujnowane, musi te krzywdy wynagrodzić – wyjaśnił adw. Łukasz Chojniak.

Śledztwo nadal trwa

Choć zapadł prawomocny wyrok uniewinniający Roberta J., Prokuratura Krajowa wciąż prowadzi odrębne śledztwo w sprawie śmierci Katarzyny Z. W tle pojawia się wątek Władimira W., również studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w tym samym czasie oskórował ojca. Mężczyzna został skazany na 25 lat więzienia, potem przewieziono go do Rosji.

Skóra Katarzyny Z. została znaleziona w Wiśle cztery miesiące przed odnalezieniem ciała ojca Władimira W. w podkrakowskiej Brzeczynie.

Według relacji Onetu Władimira W. wykluczono jako sprawcę zabójstwa Katarzyny Z., ponieważ zaświadczył, że nie miał dostępu do samochodu. Dariusz Nowak, ówczesny policjant, wspominał, że sprawy wydawały się kalkowe – dwie podobne zbrodnie w tym samym czasie i regionie.

Naczelnik krakowskiego wydziału prokuratury z uwagi na dobro postępowania nie chce jednak zdradzać szczegółów śledztwa, pewnie jest jednak, że nadal trwa.

Trudno się temu dziwić. Robert J. jest dzisiaj wolnym człowiekiem. A jeśli tak, pozostaje pytanie: kto zabił Katarzynę Z.?

Współpraca: Artur Drożdżak

– Absolutnie nic mnie nie ciekawi w złu. Przeraża mnie raczej! Moje książki kręca się wokół banalności zła i tego, że ono może czaić się wszędzie – mówi pisarka Katarzyna Puzyńska, autorka m.in. popularnej serii o policjantach z Lipowa

Anita Czapryn

KATARZYNA PUZYŃSKA: KRYMINAŁ TO WSPÓŁCZESNA BAŚŃ, W KTÓREJ ZŁO NA KONIEC NAJCZĘŚCIEJ PRZEGRYWA

Akcja twojej najnowszej książki „Nic takiego” dzieje się w Zalesiu i Piasecznie pod Warszawą. Dlaczego porzuciłaś Lipowa?

Pisanie Lipowa stało się w pewnym momencie dla mnie bardzo trudne. A to dlatego, że przemyciłam tam dużo elementów z własnego życia. Dla Czytelniczek i Czytelników wszystko było fikcją. Ja patrzyłam na to trochę inaczej. To był duży bagaż emocjonalny i gdzieś przy okazji straciłam radość z tworzenia tej sagi. Potrzebowałam odmiany. Inną kwestią był też dla mnie kryminał jako gatunek. Zaczęło mnie gryźć, czy w ogóle powinnam go pisać i niejako robić rozrywkę z tragedii. Przecież cała opowieść rozwija się wokół morderstwa. Jestem również autorką książek non-fiction, wywiadów z Policjantami, oraz Wdowami po Policjantach. Może dlatego, znając dużo prawdziwych opowieści dotyczących ludzkiego cierpienia i zbrodni, inaczej już na nią patrzę niż na początku. Widziałam prawdziwe łzy, słyszałam, jak załamywały się głosy nawet największych twórców. Bo najbardziej wymyślna zbrodnia w książce to tylko funkcja, a ta banalna, ale z prawdziwego życia, to już zupełnie inna sprawa. W każdym razie potrzebowałam odmiany. Wybrałam się na wycieczkę literacką w stronę fantastyki. To było dla mnie jak wakacje! Bardzo tego potrzebowałam. Kocham fantastykę, bo dla mnie to gatunek, który pozwala na największą wolność twórczą. Jednocześnie, paradoksalnie - choć na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać inaczej - jest gatunkiem, który pozwala wiele powie-

dzieć o nas samych i świecie wokół nas. Tylko robimy to pod płaszczykiem baśniowej opowieści. Po kilku książkach z wątkami magicznymi poczułam jednak, że zaczynam tęsknić do kryminału. Nadal nie znalazłam odpowiedzi na niektóre dręczące mnie pytania - nazwijmy je moralnymi. Pociesza mnie jednak fakt, że kryminał to nie tylko robienie rozrywki z czegoś strasznego. To także taka współczesna baśń, gdzie zło jednak na koniec najczęściej przegrywa. Poza tym często dostaję niesamowite wiadomości od moich Czytelniczek i Czytelników, że moje książki są dla nich ważne. To rozrywka, ale potrafi też pomóc przejść przez trudny czas w życiu, zapewnić odskocznik. Pomyślałam, że może więc moja praca ma jakiś sens. Kiedy zdecydowałam, że chcę wrócić do kryminału, wiedziałam już, że nie chcę pisać dalej Lipowa, że muszę się oderwać od tego, co było. Dlatego rozpoczęłam nową serię. Na miejsce akcji wybrałam Piaseczno i Zalesie, ponieważ te tereny są również bliskie mojemu sercu. Ja zawsze piszę sercem, więc i miejsce akcji w ten sposób wybieram. Mieszkam obecnie w pobliżu, więc było mi też łatwiej robić research, bo znam te wszystkie miejsca.

Jaką najważniejszą lekcję wyciągnęłaś z Lipowa, którą zastosowałaś w nowym cyklu?

Że muszę zachować dystans dla własnego zdrowia psychicznego! Tak, jak wspominałam - w tamtej serii pojawia się wiele prawdziwych elementów, choć są ukryte pod fikcją. Tym razem chcia-

łam tego uniknąć i skupić się na radości tworzenia czegoś, co bazuje bardziej na moich obserwacjach świata, ale nie (aż tak bardzo, jak w Lipowie) na moim własnym życiu.

Wróciłaś do klasycznego kryminału, bo w nim czujesz się najlepiej? Co cię ciekawi w zlu?

Absolutnie nic mnie nie ciekawi w zlu. Przeraża mnie raczej! Moje książki kręca się zwykle wokół tematu banalności zła i tego, że ono może niestety czaić się wszędzie. Może trochę to w ten sposób oszłam? Boję się tego, ile zła jeden człowiek może zrobić drugiemu. Jestem trochę niedzisiejsza. Słowem, idealistka ze mnie i chciałabym, żeby świat był dobry i piękny. Niestety, zawsze trafi się ktoś, kto będzie innym źle życzył. Nie potrafię tego zrozumieć. I może właśnie odpowiedzi na to, dlaczego tak jest, szukam w książkach? Natomiast klasyczny kryminał to nie tylko opowieść dotycząca zła, to również gra intelektualna. I w tym też tkwi siła tego gatunku. Człowiek to istota, która lubi intelektualne wyzwania. A kryminał to gra pomiędzy Autorem a Czytelnikiem. Ja zostawiam ślady, Wy ich szukacie. Ten gatunek zakłada, że odgadnięcie zagadki jest możliwe. Pisarz zostawia ślady tak, żeby można było dojść po nich do rozwią-

zania. Ta rozgrywka jest dla mnie czymś inspirującym; trochę, jak gra w szachy.

Ofiara, która wie, że zginie i jest gotowa na śmierć. Pedantyczny prokurator, który ma swoją tajemnicę. Policjantka z nadwagą, która wróży z tarota - nawiasem mówiąc to moja ulubiona postać z tej książki. Co było impulsem do napisania takiej powieści: konkretna sprawa, czy wyróżniające się postaci?

Miałam w głowie te postaci już od pewnego czasu. Każda z nich jest mi w jakiś sposób bliska. Starałam się stworzyć je w ten sposób, że jeszcze nieraz zaskoczą! Każda skrywa jakąś tajemnicę. Nie wszystkiego dowiemy się oczywiście w pierwszej części! Na niektóre odpowiedzi trzeba będzie jeszcze poczekać! To bohaterowie z potencjałem na dłuższą opowieść. Mam więc nadzieję, że ich polubicie. Swoją drogą zawsze ciekawi mnie, jak postaci są odbierane. To trochę, jak test Rorschacha - z plamami atramentu. Każdy interpretuje je inaczej. Według swojego doświadczenia. Podobnie wybór ulubionej postaci wiele mówi o samej osobie! Jako ciekawostkę dodam, że z reguły ja lubię zupełnie inne postaci niż Czytelniczki i Czytelnicy! Nie będę jednak zdradzać na razie, która z postaci z tej

książki jest mi najbliższa, żeby nie robić spoilerów!

No i co było pierwsze: intryga, konstrukcja zagadki czy budowanie bohaterów? Bohaterowie mają swoje pierwowzory w rzeczywistości?

Trudno mi powiedzieć, co było pierwsze. Z reguły to dzieje się równolegle. Bohaterowie nie mają pierwowzorów w postaci żyjących osób, ale tworzyłam te postaci z myślą o różnych osobach. Niejako dla nich. Żeby czuli, że mają swoją reprezentację w literaturze. To może zabrzmieć jak truizm, ale moim zdaniem czasem znalezienie w bohaterach siebie może podziałać jak zastrzyk energii. Coś w stylu: nie tylko ja przez to przechodzę, jest ktoś jeszcze. To może dać siłę. Może też skłonić do przemyśleń. Bo kryminał staje się też taką współczesną powieścią. Mamy zagadkę, mamy grę intelektualną, ale mamy też miejsce na zostawienie tematów do dyskusji. Nawet takiej z samą sobą, czy samym sobą. Tematy związane z macierzyństwem, z dobrostanem psychicznym, orientacją seksualną, czy nawet wspomnianą nadwagą i tym, jak taka osoba jest traktowana, i wiele innych kwestii. Cieszę się, że osoby, które do tej pory przeczytały, dla których te tematy poruszałam, pozytywnie to oceniają. Bo bardzo się bałam, czy uda mi się przekazać to, co chciałam. Każdy ma przecież inne doświadczenia. Wracając do policjantki, o której wspominałaś. Geneza tej postaci sięga kilka lat wstecz. Spotkałyśmy się z autorką Dominiką Gwit i rozmawialiśmy o tym, że brakuje takich bohaterów w literatu-

rze. Ta rozmowa była dla mnie ważna i została ze mną. Byłam wtedy w trakcie tworzenia Lipowa. Miałam tę postać w głowie, ale nie chciałam jej umieszczać w tamtej serii, bo było tam już dużo postaci. A bardzo chciałam Kają wyeksponować. Choć, jak przeczytacie „Nic takiego”, zobaczycie, że akurat ta postać nie zerwała do końca z Lipowem! Hala i Sebastian to hołd dla moich przyjaciół LGBTQ+. Starałam się oddać rozterki i trudności, ale też pokazać siłę i sprawczość. W przypadku Hali ważnym wątkiem są też jego zmagania z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi. Murawska z kolei reprezentuje zarówno rozterki samotnego macierzyństwa, jak i walkę o pozycję zawodową. To tylko część poruszanych w tej książce kwestii. Są przecież jeszcze postaci poboczne i ich historie. Jestem z wykształcenia psychologiem, może więc ten nacisk na budowanie postaci to takie moje zboczenie zawodowe. Mam nadzieję, że wiele osób odnajdzie w tej historii jakiś bliski sobie wątek.

Tarot jako narzędzie fabularne też jest bardzo ciekawe; czy chciałaś powiedzieć nim coś więcej, na przykład, że potrzebujemy więcej intuicji w dzisiejszych cyfrowych czasach? Czy dla ciebie intuicja ma znaczenie?

Tarota użyłam ze względu na moją przyjaciółkę i współpracowniczkę, Anię, która bardzo lubi takie tematy. Chciałam jej zrobić niespodziankę, więc robiłam research, nie pytając jej o nic, mimo że na pewno chętnie by mi pomogła! Myślę, że intuicja jest w życiu ważna. Często opiera się ona na do-

*PISANIE LIPOWA STAŁO SIĘ
W PEWNYM MOMENCIE DLA MNIE
BARDZO TRUDNE. A TO DLATEGO,
ŻE PRZEMYCIŁAM TAM DUŻO
ELEMENTÓW Z WŁASNEGO ŻYCIA*



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Katarzyna Puzyńska: We mnie ciągle coś krzyczy. Wątpliwości, lęki, nadmierna być może wrażliwość na pewne tematy. Trzeba jednak pamiętać, że choć w życiu to może być trudne, to w pisaniu pomaga

świadczeniu, jakie mamy w danej dziedzinie. Czasem nie umiemy czegoś nazwać, ale podskórnie czujemy, że coś powinno zostać zrobione w jakiś sposób. Ja tak piszę książki. Sercem i właśnie intuicją. Nie umiem tego analizować, po prostu to robię.

Wyróżnij się, albo zgiń - na ile ta zasada, która obowiązuje w reklamie, ale też i w social mediach na przykład, ma znaczenie w kryminale?
Z punktu widzenia postaci, która chce ukryć zbrodnię, raczej lepiej się nie wyróżniać. Wtedy jest większa szansa, że śledczy cię nie wytropi! (Śmiech).

Jest w książce taka scena, której autorka nie chciała, ale chciała książka i bohaterowie?
Zawsze pracuję z planem. Tworzę go, zanim usiądę do zapisu. Porównałabym to

do przygotowywania planu podróży. Zapisujemy sobie, co chcielibyśmy zobaczyć na wycieczce dajmy na to do Paryża. Na miejscu okazuje się jednak, że Luwr jest z jakiegoś powodu zamknięty i trzeba zmienić plany. Tak samo ja, już będąc w zapisie, mogę nagle odkryć, że coś, co grało na poziomie planu, jednak wygląda inaczej, kiedy jestem w danej scenie już na żywo, czyli w zapisie. Wtedy muszę ten plan modyfikować. Tak się dzieje przy każdej książce wielokrotnie i - przynajmniej w moim stylu pracy - to jest całkowicie normalne.

Ponad dekadę temu, kiedy startowałaś, dominował nurt „im brutalniej, tym lepiej”. Kryminały pełne były wymyślnych, wyjątkowo brutalnych zabójstw. Co się zmieniło od tamtego czasu w polskim kryminale?

Myślę, że nurt brutalności nadal jest obecny. Ja akurat unikam zbytnej brutalności. Uważam, że pewne rzeczy lepiej pozostawić wyobraźni czytelniczek i czytelników. Nie lubię dosłowności. Zwłaszcza w takich kwestiach. Paradoksalnie scena z mniej szczegółowym opisem może być dużo mocniejsza. Świetnym przykładem jest „Psychoza”, gdzie niewiele jest dosłownych scen, a jednak film robi bardzo mocne wrażenie. Bo sami dopowiadamy sobie dużo rzeczy. Tak naprawdę w polskim kryminale jest sporo nurtów. Były obecne wtedy i teraz. To, co się zmieniło, to podejście czytelniczek i czytelników do polskich pisarzy. Bardzo się cieszę, że teraz wiele osób przekonało się do polskiej literatury. Jedenaście lat temu było pod tym względem inaczej. Dużo osób podchodziło do niej bardzo

ostrożnie. Do dziś pamiętam wiadomość dotyczącą „Motylka”: „Książka jest dobra, mimo że polska”. A przecież polskie pisarki i pisarze są świetni! I bardzo różnorodni. Niekoniecznie trzeba lubić akurat moje książki. Wśród propozycji wydawniczych można znaleźć tyle różnych stylów pisania, że każdy znajdzie coś dla siebie.

Co się zmieniło w oczekiwaniach odbiorców? Dziś bardziej interesuje czytelników psychologia, obyczaj, społeczny komentarz?
Myślę, że wszystko po trochu.

Czytelnik chce dzisiaj wiedzieć bardziej „kto zabił” czy „dlaczego zabił”?
Odpowiedzi na oba pytania są kluczowe dla kryminału. Trzecim kluczowym pytaniem jest „jak zabił”. Jeśli znamy odpowiedzi na te py-

tania, możemy zasiąść do zapisu! (Śmiech). To z punktu widzenia pisarki. A jeśli chodzi o punkt widzenia osób czytających, to już pewnie kwestia indywidualna. Dla jednych ważne będzie odkrycie tożsamości sprawcy, inni będą szukać odpowiedzi dotyczących genezy zbrodni. Dla mnie pytanie „dlaczego” zawsze jest kluczowe. Każdy chce o sobie myśleć, że jest dobry. A jednak spłot czynników sytuacyjnych i osobowościowych może doprowadzić niemal każdego na skraj. To jest to, o czym wspomniałam na początku. Szukam więc często w moich książkach odpowiedzi na pytania o początek, o moment krytyczny.

Czy widzisz zwrot ku ekranizowalności: pisanie scen jak z serialu, z kamerą na ramieniu. To jest nowa jakość w polskim kryminale? A jeśli nie, to co nią jest?
Tak, jak mówiłam, ja nie umiem tego analizować. Po prostu to robię. Na razie mam tylko jedną ekranizację. Mam nadzieję, że kiedyś powstaną kolejne. Myślę, że każda pisząca osoba o tym marzy, bo to trochę tak, jakby bohaterowie wyskoczyli z twojej głowy. Oni tam są, widzisz ich, widzisz sceny. Ale zobaczyć je rzeczywiście, nie tylko oczami wyobraźni... Super uczucie!

Co polski kryminał robi najlepiej? Jaki jest nasz lokalny smak? To poczucie humoru, czy specyficzne realia, czy obyczajowość?
Byłam kiedyś na spotkaniu w Madrycie; moje książki wydawane są również w języku hiszpańskim, i usłyszałam tam, że jesteśmy bardzo egzotyczni, a jednocześnie bliscy i podobni do Hiszpanów. Uśmiechnęłam się na określenie egzotyczni, bo przecież dla siebie samych jesteśmy zwyczajni. Dodam, że to było powiedziane w sposób bardzo pozytywny. W kontekście tego, że jesteśmy ciekawi. Polska kultura, jak i położenie geograficzne są bardzo specyficzne. A przez to bogate. Jesteśmy trochę na styku, czerpiemy z różnorodności, choć czasem niektórzy się jej boją. Myślę, że zdecydowanie nie mamy się czego wstydzić. W polskich książkach jest i mrok, i lekkość, żeby go trochę zrównoważyć. Są elementy słowiańskie, ale też tempo akcji, jak w najlepszym amerykańskim filmie. Trochę nostalgii, trochę wzniosłości, nuta niepokoju, bohaterstwo, ale też trudniejsze cechy. Myślę, że to niepowtarzalna mieszanka. Jednocześnie w literaturze piękne jest to, że wszyscy na całym świecie jesteśmy też podobni. Dobre opowieści są uniwersalne.

Możemy zrozumieć to, co napisano w Argentynie, USA, Australii, Chinach, a nawet w starożytnej Grecji.

Co, twoim zdaniem, jest najważniejsze w kryminale?
To, co w każdej dobrej książce. Autor czy autorka musi stworzyć dobrą opowieść. Jeśli pisarz jest dobrym opowiadaczem, odnajdzie się w każdym gatunku. Kochamy słuchać historii. Kiedyś siadaliśmy w kręgu przy ognisku, teraz z książką przy zapalonej lampce.

Który z polskich kryminałów najbardziej cię przeraził? A który spowodował ukłucie zazdrości, bo też chciałaś o tym napisać? Czy są takie, do których wracasz?
Uwielbiam Olgę Tokarczuk i jej „Prowadź swój pług przez kości umarłych”. Myślę, że można tę książkę uznać za kryminał. Tokarczuk jest wspaniała! Kocham jej język. Zazdroszczę w pozytywny sposób.

Coś się w tobie zmieniło po ponad dekadzie pisania o śmierci, kłamstwie, tajemnicach, ludzkich pożądliwościach?
Mam jeszcze więcej wątpliwości niż kiedy zaczynałam. Zwłaszcza w kontekście tego, o czym mówiłam na początku. Czy można robić rozrywkę z morderstwa? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Ciągłe pisanie kryminały, ale też nadal szukam odpowiedzi.

Kiedy ostatnio powiedziałaś sobie: „Ach, to nic takiego”, chociaż w środku wszystko w tobie krzyczało, że jest właśnie odwrotnie?
We mnie ciągle coś krzyczy. Wątpliwości, lęki, nadmierna być może wrażliwość na pewne tematy. Często staram się trochę ten zamęt w mojej głowie uspokoić. Nie zawsze się udaje. Trzeba jednak pamiętać, że choć w życiu to może być trudne, to w pisaniu pomaga. Bo dzięki własnemu rozterkom, czy wysokiej wrażliwości, można lepiej wczuć się w bohaterów. Coś za coś.

KSIĄŻKA



Katarzyna Puzyńska, „Nic takiego”, Wydawnictwo: Prószyński i S-ka, Warszawa 2025

TIANYAO LYU: ŻYJĘ MUZYKĄ

Ma zaledwie siedemnaście lat, a już zachwyciła świat tym, jak interpretuje kompozycje Fryderyka Chopina. W tym roku zajęła IV miejsce i wyróżnienie specjalne. Jaka jest prywatnie?

Maciej Szymkowiak

Teraz, kiedy Konkurs Chopinowski już się zakończył, jak się czujesz? Emocje opadły, czy wciąż są w Tobie żywe? Szczerze mówiąc, podczas całego konkursu nie byłam szczególnie zdenerwowana, więc teraz też nie. Kiedy jednak wszystko się skończyło, zrobiło mi się trochę smutno, bo to było wspaniałe doświadczenie.

Kiedy zaczęłaś ćwiczyć repertuar konkursowy? To przecież ogrom materiału: ponad trzy godziny muzyki!

To trudno jednoznacznie określić. Nie było tak, że od początku zajmowałam się tylko tym repertuarem. Wszystko zaczęło się nie w zeszłym roku, ale jeszcze wcześniej: dwa lata temu, kiedy poznałam moją panią profesor Katarzynę Popową-Zydroń. To właśnie ona zasugerowała mi udział w Konkursie Chopinowskim. Od tego momentu zaczęłam stopniowo się przygotowywać, choć w międzyczasie miałam też inne zajęcia i kursy, więc praca nad repertuarem przeplatała się z innymi projektami.

Podczas konkursu wszyscy patrzyli na Ciebie, byłaś w centrum uwagi. Jak się wtedy czułaś? Nie stresowałaś się? Czułam się tak, jakbym grała normalnie – po prostu starałam się cieszyć tą przepiękną, ogromną salą koncertową. To było moje wymarzone miejsce do występu.

Uczyłaś się w Centralnym Konserwatorium Muzycznym w Pekinie pod kierunkiem prof. Hua Chang. To bardzo znana instytucja. Czy mogłaś opowiedzieć, jak wyglądała tam nauka i czym różni się podejście do Chopina w Chinach i w Polsce?

Kiedy uczyłam się w tamtej szkole, byłam jeszcze bardzo młoda. Wtedy nie skupiałam się wyłącznie na Chopinie. Grałam utwory wielu kompozytorów, między innymi Mozarta, Bacha, Beethovena. To był taki ogólny etap rozwoju muzycznego. Dopiero po przyjeździe do Polski, gdy zaczęłam naukę z moją panią profesor, usłyszałam od niej, że Chopin powinien być prosty i naturalny. Bardzo to zapamiętałam, bo wcześniej w Chinach miałam tendencję do bardziej emocjo-



Tianyao Lyu, chińska pianistka, w Akademii Muzycznej w Poznaniu nazywana jest Marysią

nalnego, może nawet zbyt ekspresyjnego grania. To była dla mnie ważna lekcja.

Kto jest Twoim ulubionym kompozytorem? Nie tylko jeśli chodzi o fortepian, ale też o muzykę symfoniczną. Chopin! Ale lubię właściwie wszystkich kompozytorów na świecie. Każdy ma w sobie coś wyjątkowego. Ale jeśli miałabym wymienić kilku, to z pewnością Bach, Mozart, Brahms... i wielu, wielu innych.

Za co najbardziej uwielbiasz twórczość Fryderyka Chopina? Chopin jest dla mnie wyjątkowym kompozytorem. Jego muzyka jest pełna emocji – bardzo szczerych i głębokich, które mnie osobiście poruszają.

Czy kiedykolwiek grałaś na instrumentach historycznych? Bardzo lubię klawesyn. To mój ulubiony instrument, zaraz po fortepianie.

Wiadomo, że słuchasz muzyki klasycznej, ale czy słuchasz też tradycyjnej muzyki chińskiej? Jeśli tak, to jakiej? Tak, oczywiście. Mój dziadek grał w operze pekińskiej na instrumentach takich jak erhu i jinghu. To instrumenty typowe dla opery chińskiej. Od dziecka miałam z nimi kontakt. W szkole muzycznej w Chinach uczyliśmy się też muzyki ludowej – tradycyjnych pieśni, bardzo naturalnych, prostych i pięknych. To

zupełnie inny świat niż muzyka europejska, ale równie inspirujący.

W Pekinie w konserwatorium uczy się także muzyki tradycyjnej, co u nas właściwie nie występuje. To tak jakby w polskim liceum muzycznym uczono tańców ludowych, oberków czy krakowiaków. A przy okazji: czy to prawda, że podarowałaś swojej profesor utwór, który sama skomponowałaś? Tak, to prawda. Sama go napisałam. Trudno powiedzieć, jaki to dokładnie styl. To połączenie muzyki klasycznej, romantycznej i trochę współczesnej. Wszystko, co we mnie grało, znalazło się w tym utworze. Lubię muzykę prostą, ale też taką, która ma w sobie coś świętego, podniosłego.

Przed rozpoczęciem gry zawsze próbujesz wczuć się w emocje utworu, jakbyś przystaczała się w kogoś innego, kto przekazuje przez siebie tę muzykę. Oczywiście. Każdy utwór wymaga innego przygotowania i innego rodzaju emocji. Trzeba to poczuć wcześniej, zanim się zagra pierwszy dźwięk.

Jak wygląda Twoje codzienne ćwiczenie? Czy masz jakiś określony system pracy, który pozwala Ci skoncentrować się przez tyle godzin przy instrumencie? Nie mam żadnego specjalnego systemu. Po prostu bardzo kocham muzykę. Kiedy robi się

coś, co się naprawdę kocha, to nie jest obowiązek, ale przyjemność. Gram, myślę o muzyce, żyję nią. To dla mnie coś całkowicie naturalnego.

Podczas drugiego etapu Konkursu Chopinowskiego, tuż przed wejściem na scenę, wykonywałaś charakterystyczne ruchy palcami. Czy mają one jakieś szczególne znaczenie: może fizyczne, a może magiczne, życzeniowe? To nic magicznego (śmiech). Po prostu przed drugim etapem byłam tuż po przyszniciu i czułam, że moje dłonie nie są wystarczająco rozluźnione, więc musiałam je szybko rozciągnąć.

Jak zmieniło się Twoje życie po Konkursie Chopinowskim? Szczerze mówiąc, nie zmieniło się aż tak bardzo. I mam nadzieję, że w środku – we mnie – też nic się nie zmieni. Nadal jestem uczennicą, studentką. Wciąż chcę się jak najwięcej uczyć, szczególnie od mojej profesor. Z drugiej strony, moim największym marzeniem jest dzielić się muzyką z innymi. Konkurs dał mi szansę, by pokazać się światu i zaprezentować to, co czuję przez muzykę. Teraz chciałabym dalej rozwijać się i coraz lepiej przekazywać to, co noszę w sobie.

Czy podczas przygotowań do Konkursu Chopinowskiego było jakieś jedno szczególne dla Ciebie wykonanie koncertu Chopina?

Kiedy byłam mała, słuchałam muzyki Chopina na dobranoc i wtedy nie zwracałam uwagi, kto gra. Teraz mogę powiedzieć, że największy wpływ wywarła na mnie moja pani profesor i sposób, w jaki ona interpretuje Chopina. Był dla mnie ogromną inspiracją.

Na finał grałaś koncert e-moll, a orkiestra w tym etapie wykonywała nieco inną edycję partytury niż we wcześniejszych etapach. Czy to wpłynęło na Twoją interpretację?

Tak, rzeczywiście było kilka różnic: niektóre nuty, drobne szczegóły. To mnie zaskoczyło, nie spodziewałam się tego, ale nie miało to dużego wpływu na moją interpretację. Starałam się zachować spokój i po prostu grać tak jak to czułam.

Co spowodowało, że wybrałaś właśnie fortepian Fazioli do swojego występu? To było bardzo trudne zadanie. Mieliśmy tylko 15 minut na wybór instrumentu, a wszystkie fortepiany były najwyższej klasy. Tak naprawdę nie dało się wybrać „złego” instrumentu. Ostatecznie wybrałam ten, który wydawał mi się najbardziej odpowiedni dla mnie i który najlepiej brzmiał w tamtej sali koncertowej.

Czy od razu zaczęłaś grać na fortepianie, czy może na początku próbowałaś innych instrumentów? I w jakim wieku w ogóle zaczęłaś swoją przygodę z muzyką? Właściwie to muzyką zainteresowałam się już, gdy miałam dwa lata. Kiedyś w domu leciał utwór i nagle zaczęłam płakać. Rodzice zapytali mnie, dlaczego, a ja odpowiedziałam, że w tej muzyce usłyszałam jakąś historię. Myślę, że to był pierwszy moment, kiedy poczułam, że muzyka potrafi coś opowiadać. Zaczęłam uczyć się gry na fortepianie, gdy miałam pięć lat. W domu były też skrzypce i gitara, więc próbowałam różnych instrumentów, ale fortepian od początku najbardziej mnie pociągał.

Pytanie bardziej teoretyczne: jak w Chinach wygląda nauka muzyki pod względem systemów dźwiękowych? Czy od początku uczycie się euro-

pejskiej muzyki tonalnej, czy też chińskiej tradycji muzycznej?

To zależy od szkoły. W większości instytucji muzycznych uczymy się przede wszystkim systemu europejskiego, czyli tonalności i klasycznej teorii muzyki. Ale tradycyjna muzyka chińska także jest obecna. Często jako dodatkowy przedmiot, zwłaszcza w konserwatoriach. Myślę, że to bardzo ważne, by znać i rozumieć oba światy.

Jakie największe wyzwania czekają Cię teraz w przyszłości? Czy planujesz przygotowania do kolejnych konkursów?

Rzeczywiście, teraz bardzo dużo się dzieje. To dla mnie coś nowego, bo nigdy wcześniej nie doświadczałam takiego zainteresowania i takiego tempa wydarzeń. To samo w sobie jest wyzwaniem. Jeśli chodzi o przyszłe konkursy, jeszcze nie wiem. Będę się kierować wskazówkami mojej profesor i zobaczymy, co przyniesie czas.

A czy tęsknisz za Chinami? Oczywiście, że tak, ale głównie za rodziną, za bratem.

A Twój brat też jest muzykiem?

Próbowałam go nauczyć grać, nawet trochę się starał (śmiech), ale ostatecznie stwierdził, że muzyka to nie jego droga.

Co lubisz robić oprócz grania na fortepianie? Masz jakieś pasje, sposoby na relaks? Podróżujesz, uprawiasz sport?

Tak, bardzo lubię być aktywna. Jeżdżę konno, na łyżwach i na nartach. Lubię też komponować i pisać. Jazda konna była moją wielką pasją, ale miałam kontuzję i musiałam niestety przestać.

A taniec?

Tak, tańczyłam balet europejski, nie tradycyjny chiński.

Jakie są Twoje życiowe cele, wartości, co jest dla Ciebie najważniejsze? Co Cię motywuje? Myślę, że muzyka może być moim ostatecznym celem, bo potrafi wyrazić to, czego nie potrafią wyrazić słowa. To wydaje się proste, ale jest w tym ogromne piękno.

**Spiemy się w Polsce o święto-
wanie 11 listopada, o to, który
marsz jest bardziej polityczny,
który bardziej wspólnotowy,
który jest tylko dla prawicy.**

Spróbujemy to rozstrzygnąć, cofając się w czasie o 107 lat. U źródeł świętowania 11 listopada jest pierwszy marsz, który miał miejsce 17 listopada 1918 roku, w pierwszą niedzielę po odzyskaniu niepodległości. Był to marsz narodowy, a słowo „narodowy” należałoby podkreślić jako odzwierciedlenie charakteru tego święta. To była całkowicie oddolna inicjatywa społeczna, wydarzenie o dużym rezonansie. Powstał komitet obywatelski, oddzielono zdecydowanie politykę od marszu. Nawet kiedy zjawił się w Warszawie Korfanty, to w prasie mówiono o jego wystąpieniu na porannym wiecu, a nie o jego udziale w marszu. Ten był apolityczny. Udział wzięło 120 organizacji społecznych. Podzielono uczestników marszu na pięć kolumn - co było przemyślanym zabiegiem, zakładającym właściwe uporządkowanie marszu. Każda z grup wychodziła z innego kościoła, bo wydarzenie odbywało się po mszach, na których śpiewano „Te Deum laudamus” i hymn narodowy. Pierwszą kolumnę tworzyli duchowni wszystkich wyznań, czyli duchowni rzymskokatolicy, ewangelicy i rabinat. Pełen ekumenizm. Były organizacje kobiece, byli przedstawiciele władz. Piłsudski nie wziął udziału dlatego, że był zapracowany. Trwały już wówczas boje w Galicji Wschodniej, co chwilę pojawiały się nazwy Przemyśl, Lwów. W prasie odnotowano tę absencję tłumacząc, że nie była to niechęć, tylko ogrom zadań. Przyjechali za to na marsz przedstawiciele Wielkopolski, brali w nim również udział przedstawiciele Alzacji i Lotaryngii, która też odzyskiwała niepodległość, na co uwagę zwracała prasa. Całość odbywała się w porządku i dyscyplinie. Przed marszem powstał sześciorzędowy poradnik, wskazówki dla uczestników, jak się zachować, i czysto techniczne, co trzeba zrobić, żeby wziąć w nim udział. I tak, na dzień przed marszem należało udać się do komitetu organizacyjnego i pobrać „bilety” - dlatego pisano w prasie „biletujcie się obywateli”. W dniach poprzedzających marsz „Kurier Codzienny” zamieścił trzy strony ogłoszeń, gdzie każda ze stu dwudziestu organizacji przygotowujących marsz szczegółowo informowała, gdzie znajdują się ich biura, w których karty uczestnictwa w marszu będą wydawane. Jedną z ciekawszych wskazówek mówiła, że obywatele mieli sami tworzyć łańcuch ochronny i oddzielać marsz od widzów. Kolejna mówiła, że w momencie, kiedy są śpiewy, to śpiewać należy, ale kiedy gra

orkiestra, to należy zaprzestać śpiewu, żeby się nie przekrzykiwać. To wszystko się udało. Trzeba podziwiać poziom postawy obywatelskiej, samoorganizacji społeczeństwa, podziwiać organizatorów tego marszu, w tym za tempo, bo w ciągu kilku dni zorganizowano marsz, w istocie narodowy, dla wszystkich. Do tej inicjatywy, do tamtej atmosfery powinniśmy nawiązywać dziś świętując 11 listopada.

Skąd wiedzieli, jak zorganizować święto, jak świętować odzyskanie niepodległości?

Czerpano z doświadczeń francuskich. Cała Europa i Stany Zjednoczone uczyły się od Francuzów, od ich obchodów Rewolucji Francuskiej. Już w pierwszą rocznicę zbурzenia Bastylii w Paryżu zbudowano specjalny amfiteatr, w którego budowie uczestniczył osobiście La Fayette, główny organizator obchodów. Miało to podkreślić formę i treść obywatelskiego święta. Z czasem nabrało ono ceremonialnego wymiaru. Francuzi przywiązują wagę do świętowania na powietrzu, co – jak niejednokrotnie podkreślano – ma także swoje znaczenie. Ogranicza nas tylko sklepienie niebieskie – tak mówili sami Francuzi. Natomiast gdyby powiedzieć o tym, czy Warszawa uchyliła rozbiorów miała doświadczenia w organizacji podobnych wydarzeń... Był inny marsz, który był podobny do tego z 17 listopada 1918 r., w formie, wielkości, tylko w zupełnie innej sytuacji politycznej. Odbył się 3 maja 1916 roku, niemal rok po zajęciu Warszawy przez Niemców. Wzięło w nim udział około stu organizacji, wszystko odbywało się w wielkim ładzie i porządku. Szczególnie uhonorowano wówczas Powstańców Styczniowych. Księżna Zdzisława, małżonka księcia regenta Lubomirskiego, szczególnie to opisuje. Wydarzenie to dokumentował specjalny albumik. Zawiera około stu zdjęć, każda uczestnicząca w marszu grupa została sfotografowana. Szli m.in. wioślarze, cykiści czy dziennikarze. Nawet Niemcy podziwiali, okupanci

Tomasz Chudzyński



**Pochód narodowy 17 listopada 1918 r. w Warszawie.
Rycina rysownika Leona Wróblewskiego (1893-1975)**

przecież, podziwiali Polaków za poziom organizacji.

Organizacja marszu z 17 listopada 1918 r. odzwierciedlała ogromny optymizm. Zaczął się proces odbudowy państwa, choć nie wszystko było jeszcze przesądzone. 11 listopada nastąpiło zawieszenie broni na froncie zachodnim I wojny światowej, w Warszawie był już Piłsudski.

Najbardziej podstawowy rys historyczny ogranicza się do stwierdzenia, że 10 listopada 1918 r. Piłsudski przyjechał do Warszawy z twierdzy w Magdeburgu, 11 listopada przejął władzę wojskową od Rady Regencyjnej, a trzy dni później pełnił władzy. Z Dworca Wiedeńskiego Piłsudski udał się samochodem ks. Lubomirskiego do jego domu, do „Frascati”. W salonie podano herbatę. Regent i Piłsudski odbyli tam poufną rozmowę. Adam Koc szczegółowo relacjonuje pierwsze godziny pobytu Piłsudskiego. Zamiesz-

kał on w pensjonacie panien Romanówien przy ulicy Moniuszki nr 2. Miał ze sobą jedynie małe zawiniątko z drobiazgami - Niemcy dali mu tylko 10 minut na spakowanie się, dlatego trzeba było dostarczyć nowe ubranie. Koc wspominał m.in., że przyniesiono m.in. koszulę w rozmiarach od 37 do 43, by odpowiedni rozmiar dla Piłsudskiego dobrał. W Warszawie rozbrajano Niemców, trwała strzelanina. Piłsudski był mocno niezadowolony z powstania rządu w Lublinie. Twierdził, że wiąże mu to ręce. 11 listopada o piątej po południu Piłsudski pojechał do mieszkania regenta Ostrowskiego, gdzie Rada Regencyjna formalnie przekazała brygadierowi Piłsudskiemu władzę wojskową i naczelne dowództwo nad wojskiem polskim. Rzeczywiście, 11 listopada był ważny w Warszawie. Z kolei na przykład dla Krakowa ważny był dzień 31 października, kiedy, jak zapisał w swoim diariuszu konserwatysta krakowski Wła-

dysław Leopold Jaworski: „Dzisiaj zawieszono polską chorągiew na odwachu. Wojsko przypięto na czapkach orły polskie”. Ten sam polityk pisał pod datą 12 listopada: „nominacja Piłsudskiego rodzajem dyktatora nie jest wątpliwą w swych skutkach”. Przekazanie władzy i sposób objęcia władzy przez Piłsudskiego w spojrzeniu konserwatysty krakowskiego, który osobiście znał Piłsudskiego, wcześniej z nim współpracował, odbierano jako dyktaturę. On też podkreślał, że późniejszy Naczelnik Państwa studiował naturę tłumy, umiejętność panowania nad nim. To jest prawda. To odróżniało Piłsudskiego od Dmowskiego, który był politykiem gabinetowym, nie lubił spotkań. A Piłsudski to kochał. 11 listopada 1918 r. kilkukrotnie wychodził, by przemawiać do tłumy. Pod datą 19 listopada Jaworski pisał: „Moraczewski jest tępy fanatyk, płytki, niedouczonego historyk (...) brutalny”, a o jego rządzie pisał, że to „smutna operetka”. Taki był klimat tamtych listopadowych dni.

11 listopada - Narodowe Święto Niepodległości obchodzimy od 1989 r., kiedy je przywrócono ustawą po tym, jak zostało zniesione przez komunistów w 1945 r. Ale oficjalnym świętem państwowym 11 listopada został ogłoszony dopiero w 1937 r.

Z tym świętem był pewien kłopot, bo ono rzeczywiście formalnie nie istniało. Świadczy o tym choćby nota poselstwa Belgii do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które w grudniu 1919 roku, czyli ponad rok po odzyskaniu niepodległości pytało, kiedy król Belgii ma składać życzenia Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu. Co więcej, z tej korespondencji wynika, że poselstwo Belgii nie było jedyne, które miało podobny problem. W samej nocy zaproponowano trzy daty - 19 marca, w dniu imienin Naczelnika Państwa, 3 maja, dokładnie w dniu święta narodowego uchwalonego ustawą z 29 kwietnia 1919 roku oraz 6 sierpnia, jako w dniu święta żołnierskiego, związanego wyjątkowo z osobą Naczelnika Państwa. Zauważmy, faktycznie mamy dziś dwa święta narodowe - 3 maja i 11 listopada. Gdyby ktoś spytał, które z nich jest ważniejsze, odpowiedziałbym, że mamy obfitość dni świątecznych i nie powinniśmy narzekać. Francuzi nie mają kłopotu, bo mają 14 lipca, Amerykanie nie mają kłopotu, bo mają 4. dzień lipca. My mamy w kalendarzu dwa razy święto narodowe. Inne narody mogą nam tego zazdrościć.

Przed wybuchem II wojny światowej oficjalne obchody 11 listopada odbyć się mogły jedynie dwukrotnie.

Niemniej 11 listopada obchodzone. Magazyn „Rewja” z 23 listopada 1919 r. wydrukował relację pt. „Uroczysty obchód w Warszawie z pierwszą rocznicą uwolnienia Królestwa Polskiego od Niemców”. Zwróćmy uwagę – nie było nazwy Święta Niepodległości, nie używano wówczas jeszcze tego terminu. Relacja mówi, że w pochodzie brała udział straż ogniowa, wioślarki, dygnitarze wojskowi i cywilni, orkiestra strażacka, policja, Sybiracy, straż kolejowa, księża katolicki, ewangelicy, rabini, orkiestra pracowników tramwajowych. A już zasadnicza zmiana nastąpiła w roku 1920, czyli po pokonaniu bolszewików. „Ekspres Ilustrowany” relacjonował wówczas obchody „Święta Zwycięstwa” w Warszawie. Były delegacje wojskowe na placu Zamkowym, misje zagraniczne przed ołtarzem polowym, przekazanie buławy marszałkowskiej ofiarowanej Naczelnemu Wodzowi przez wojsko, defilada. Można powiedzieć, że dwa lata po symbolicznej dacie odzyskania niepodległości fetowano triumf Piłsudskiego. Samo święto przekształciło się w kolejnych latach w święto właściwie wojskowe. 12 listopada 1928 roku „Kurier Literacko-Naukowy” poświęcił niemal cały numer dziesięcioleciu odrodzonej Polski. Na okładce widzimy hutę, snopki, port, dźwigi. Artykuł wstępny zatytułowany jest „Czym jest niepodległość i jak uczcić dziesięciolecie jej odzyskania?”. Są zdjęcia Piłsudskiego i Mościckiego. W późniejszych latach „Goniec Krakowski” opisywał obchody w Warszawie, z udziałem prezydenta Mościckiego, marszałka Rydz-Śmigłego. Zamieszczono jego zdjęcie, w trakcie dekorowania sztandaru Wileńskiego Pułku Artylerii ufundowanego, co ciekawe, przez społeczeństwo Kaszub. W gazetach z listopada 1938 roku, czyli po dwudziestu latach od odzyskania niepodległości, czuć już było zbliżającą się wojnę, m.in. w zamieszczonych na łamach artykułach. W piśmie „Ilustracja Polska” jest relacja z obchodów rocznicowych, trochę historycznych reminiscencji. Świętowano wówczas zajęcie Śląska Cieszyńskiego, m.in. ukazał się wiersz pt. „Trojak Śląski” poświęcony „powrotowi” Cieszyzny w granice Polski. Gazeta zamieściła przegląd osiągnięć dwudziestolecia – Gdynię, zapórę w Porąbce. Z jednej strony był triumf, ale lektura całoci robi wrażenie, bo wiemy, że było to ostatnie święto w II Rzeczypospolitej. Trzeba wspomnieć też, że pierwszy po 1989 roku prezydencki marsz z okazji 11 listopada zorganizował Bronisław Komorowski, w roku 2013.

KINGA JAKUBOWSKA: PIRACTWO JEST PRYZYZWOLENIEM NA SPOŁECZNĄ AROGANCJĘ

Dwunastolatek powinien wiedzieć, czym jest własność intelektualna. Bez edukacji o prawie autorskim nie zrobimy kroku naprzód – mówi Kinga Jakubowska, szefowa Fundacji Legalna Kultura

Anita Czupełny

Chciałabym zacząć naszą rozmowę od momentu założycielskiego Legalnej Kultury. Jaka była pani prywatna motywacja, co to był za impuls? Krótko mówiąc: co panią najbardziej bolało i dlaczego powstała Fundacja Legalna Kultura?

Z jednej strony była to odpowiedzialność zawodowa i myślenie ideowe, a z drugiej, jak się szybko okazało, moja totalna naiwność. Wywodzi się z branży filmowej, przez 20 lat zajmowałam się dystrybucją filmów i w 2010, i 2011 roku padliśmy ofiarą piractwa. Firma Kino Świat, której byłam współzałożycielką, stanęła dosłownie w obliczu bankructwa. Kiedy wydaje się 250 tysięcy euro na zakup filmu – w tamtych czasach była to ogromna kwota za licencję filmu „O północy w Paryżu” – a na dwa tygodnie przed premierą kinową film obejrzało w internecie pół miliona ludzi, to człowiek jest po prostu zrozpaczony, obezwładniony i przerażony, co dalej. To były bardzo agresywne czasy. Pamiętam, poszłam na spotkanie ze studentami, opowiadając o tym. Wielu mówiło wtedy, że piractwo to nie jest żadne piractwo, tylko, że tak się promuje filmy, że drugie tyle ludzi pójdzie do kina, bo ci, co widzieli piracką kopię, powiedzą, że film był fajny. To były okrutne czasy dla ludzi, dla wydawców.

O, przypomniała mi pani. O tym, że „mój wydawca jest złodziejem”, Kazik Staszewski śpiewał już w latach 90., a pamiętam jak w 2009 roku Kult został też okradziony, gdy do internetu wyciekły nagrania z najnowszej jego płyty. Bardzo ostro wtedy Kazik to skomentował.

Tak, udzielił wywiadów, w których rzucił hasło, że jeżeli ktoś lubi słuchać jego muzyki, a ją piratuje, „to jest dla mnie k...”. Był zdesperowany. To były czasy ludzi, którzy piratowali czy też swobodnie korzystali ze wszystkiego i uważali, że mają

do tego święte prawo. Na wspomnianym przeze mnie spotkaniu studenci mało nie obrzucili mnie ogryzkami. Naprawdę byłam jedyną osobą, która mówiła: „Słuchajcie, cywilizacja nakazuje szanować drugiego człowieka także w internecie – jest nierozwalny związek między dwiema postaciami kultury – cyfrową i materialną”. Zostałam wygwizdana. To było najokrutniejsze „kulturalne” spotkanie w moim życiu. Pół roku później, rozstając się ze współnikiem i odchodząc z Kino Świat, postanowiłam, że zanim zrobię coś innego w życiu, muszę zorganizować kampanię antypiracką, żeby wydobyć ludzkość z nieświadomości. Wydawało mi się, że wystarczy pół roku; że przemówię, wytłumaczę ludziom, że Legalna Kultura dąży do rozwiązania jednego z najistotniejszych problemów współczesnej kultury – jak z niej korzystać, zachowując wolność własną i nie ograniczając cudzej. I tu właśnie objawiła się moja naiwność. Myślałam, że jeśli powiem, jak jest, to sprawa będzie załatwiona. A to pół roku trwa do dzisiaj.

Kiedy po raz pierwszy pomyślała pani, że coś zaczyna w końcu działać, że następuje jakiś zwrot kulturowy?

Przed wszystkim na początku nikt nikt nie wierzył w ten projekt, oprócz jednej osoby, a była nią Agnieszka Odorowicz, ówczesna dyrektorka PISF. Pierwsza iskierka nadziei, że to ma sens, pojawiła się po roku działalności Legalnej Kultury; kiedy ktoś w ogóle zaczął na ten temat ze mną rozmawiać. Umówmy się: przez pierwszy rok, kiedy kogoś pytałam, z jakich źródeł korzysta, ludzie zarzucali mi, że zadaję pytania intymne. Po roku media zaczęły ze mną rozmawiać. Mówiono: „Wiesz, nie napiszemy o tym, bo to nie jest temat, który ludzie chcą czytać, ale okej, my chcemy coś na ten

temat wiedzieć”. Od początku była to kampania pozytywna, oparta na alternatywie i propozycji, a nie na karaniu i krytykowaniu. Gdyby nie ten pomysł, to kampanii by nie było, bo zostałaby zjedzona. A tak, na bazie pozytywnych wartości włączyli się artyści i zaczęliśmy funkcjonować. Tak naprawdę dopiero po mniej więcej pięciu latach zobaczyłam postęp. Moim probierzem było to, że dzwoniłam do szkół i proponowałam warsztaty Legalnej Kultury. Po pięciu latach zaczęto, bez błagania i szczególnego tłumaczenia, wpuszczać nas do szkół. To uważam za progres.

Co panią najbardziej wkurzało w tej narracji, że na piractwie nikt nie traci? Kto więc traci?

Wszyscy tracimy – ludzka etyka i świadomość, budżet państwa, serwisy, które chcą legalnie udostępniać filmy, kina, twórcy, my odbiorcy kultury. Jest jedna ważna rzecz, są też ludzie naprawdę totalnie nieświadomi, że coś piratują i naprawdę o tym nie wiedzą. Jest to cecha internetu. Dlatego tak ważne jest świadome korzystanie z jego zasobów.

W internecie hasło „Nie kradnij” nie działa?

To nie jest tylko kwestia kradzieży treści. To również sprawy dotyczące chociażby zawodu dziennikarza: mam na myśli plagiat materiałów, przekopowywanie. Plagiat jest zmorą czasów cyfryzacji. Piratowanie polega na tym, że utwór rozpowszechnia się dalej. Plagiat zaś na tym, że przepisuje się sobie autorstwo czy-

jegoś utworu. To są takie same, a nawet gorsze rzeczy. Jeżeli ktoś świadomie uprawia piractwo czy plagiat, to jest to moralność utracona w sieci, tylko zakamufLOWANA, bo najczęściej robimy to sami. A przecież w internecie nie stajemy się kimś innym; po drugiej stronie też jest człowiek. Wracając do pani pytania: są straty materialne, ale też mentalne, moralne, etyczne. Dzisiejsza młodzież i w ogóle młody człowiek, i tak ma nieprawdopodobnie rozproszone wzorce, a do tego dochodzą swobody dotyczące piractwa, korzystania z zasobów sieci. To jest takie ciche przyzwolenie na społeczną arogancję i w tym piractwo jest niebezpieczne chyba najbardziej. Nic nas już nie trzyma w ryzach. Dlatego kampania Legalnej Kultury jest kampanią budowania świadomego uczestnictwa w kulturze i świadomego uczestnictwa w sieci, budowania wspólnoty twórców i odbiorców.

Są serwisy, na których znajduje się „kradziona kultura”, gdzie znajdziemy dostęp do spiratowanych filmów, a na takich stronach reklamują się też znane marki. To tak, jakby na to przyzwalały. Czy możliwe jest rozwiązanie regulacyjne albo rynkowe, które by przestawiło tę wajchę?

O to trwa cała „zimna” wojna, a mam wrażenie, że wielu walczących jest w białych rękawiczkach! To nie jest tak, że nikt z tym nie walczy. Jednak domy mediowe dysponują ogromnymi budżetami i zwrócimy uwagę: w tych serwisach nie ma przypadkowych

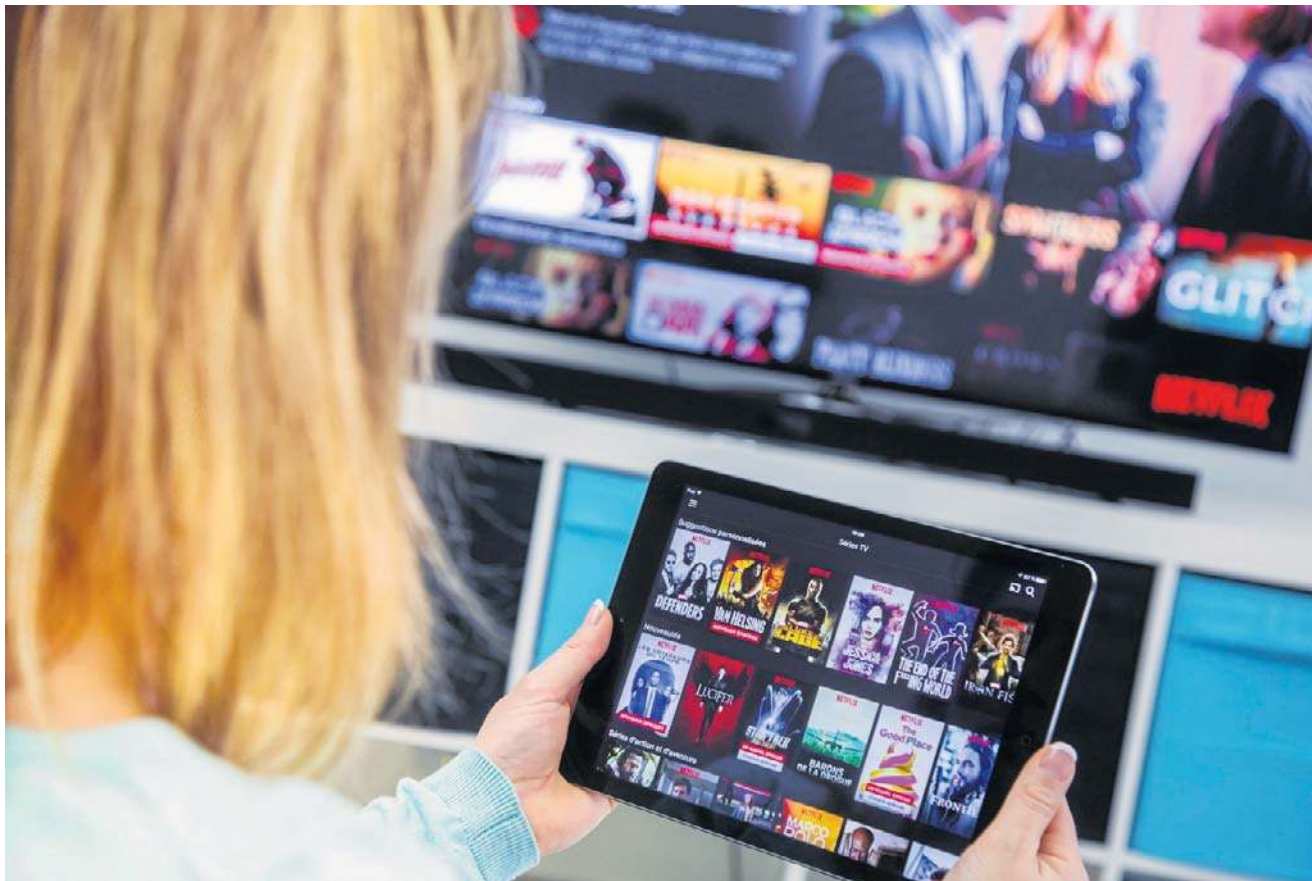
reklam mniejszych firm, biżuterii czy bielizny. Mówiąc najprościej – to są wielkie korporacje, potężne firmy np. jak Coca-Cola. Kupują reklamy hurtowo przez agencje i platformy jak Google Ads, Facebook czy dziesiątki mniejszych sieci reklamowych. Ustawiają tylko: „pokaż moją reklamę mężczyznom 18-35 lat w Polsce” – i system sam znajduje miejsca, gdzie tacy ludzie siedzą. Pirackie strony podpinają się pod ten sam system i one też sprzedają miejsce na reklamy przez te same sieci. W wielu przypadkach nie można mieć pretensji do użytkowników, bo są i tacy, którzy pomyślą: „Skoro tu reklamuje się Coca-Cola, to chyba wszystko jest w porządku”.

Kolejna rzecz to prawa autorskie. Nadążają za tempem technologii?

Problem polega na tym i tak było od początku, że prawo nigdy nie nadążało za życiem, cywilizacją, technologią. Kiedy pojawiło się DVD, pamiętam mnóstwo walk o prawa, o taniemy z płyt DVD, i wiele spraw sądowych. DVD już prawie schodziło z rynku, zamieniało się w streaming, a procesy w sądzie trwały 10-12 lat. W zapisach prawa tego nie ma nie przewidziano, a w umowach w ogóle nie było słowa o takim nośniku jak DVD. A wcześniej nie było np. o wideo. Teraz mamy identyczną sytuację z AI, tylko na znacznie większą skalę. To cecha rozwoju cywilizacyjnego, że technologia coraz bardziej wymyka się z reguł i coraz trudniej nad nią zapanować.

Algorytmy stały się tak obecne w naszym życiu, że mówią nam, co mamy lubić. Wchodzą na stronę i widzę formułkę: „Polecane dla ciebie”. Jak bronić różnorodności w świecie, w którym sztuczna inteligencja już „wie”, co mamy lubić? Może kina studyjne powinny mieć własne, kuratorskie algorytmy?

No, właśnie uważam, że w tym momencie samo słowo „algorytm” staje się wrogiem. Chcemy się przed tym bronić, a jednocześnie dajemy przyzwolenie, by serwisowano nas na każdym kroku, bo te algorytmy to nic innego jak podawanie treści na tacy. A to jest nasz wybór, co z tym zrobimy. Dobrze, że pani zwróciła na to uwagę, bo to kolejny element świadomego uczestnictwa w kulturze. Ono powinno polegać na tym, że dokonujemy świadomych wyborów, czyli np. czytamy recenzje. Algorytm nas w tym wyręcza – nasz niewidzialny lokaj. To jest wybór: albo idzie się na skróty i korzysta z papki, albo robimy dwa kroki wstecz i sięgamy po coś bardziej szlachetnego. To nasz wybór. Mamy tendencję, żeby wszystko osiągać szybciej i zatracamy wartości. Wiem, że nie będę popularna i nie wymyślę prochu, ale osobiście omijam algorytmy szerokim łukiem. A jeśli na nie patrzę, to wyłączam ze względu na realizację kampanii Legalnej Kultury. Co mnie ostatnio dobiło: w telefonie szukałam głośników JBL, które chciałam kupić młodzieży poświęcającej swój czas na pogłębione wywiady, jakie przeprowadzamy. I proszę sobie wyobrazić przeglądając głośniki w telefonie i od razu dostaję SMS: „Dzień dobry, Kingo, szukasz głośnika Bluetooth. Wybierz model dla siebie”. Byłam w szoku. Skąd oni w ogóle znają moje imię? Jeżeli za tym podążamy, to dajemy przyzwolenie. I tu wchodzimy w sferę inną niż piractwo, tylko ogólnie mówiąc, w obrządek cywilizacyjny, który serwuje nam technologia, przenosi nas do zupełnie innego świata. My sobie z tego nie zdajemy sprawy, bo niby nadal rano pijemy herbatę, rozmawiamy w tym samym języku, a nasza obyczajowość zmienia się w tempie kosmicznym i zaczyna brakować wartości. Dlatego ciągle powtarzam o świadomym uczestnictwie; to dotyczy piractwa, etyki, tego,



FOT. 123RF

Kinga Jakubowska: Piratowanie polega na tym, że utwór rozpowszechnia się dalej. Plagiat zaś na tym, że przypisuje się sobie autorstwo czyjegoś utworu

że po drugiej stronie też jest człowiek, i wartości etycznej związanej z tym, jak korzystać ze wszystkiego, nie robiąc krzywdy drugiemu człowiekowi. A tego bez myślenia i świadomych wyborów zrobić się nie da.

Wspomniała pani o filmach, więc przejdę do kina. Nosi pani w sobie takie pierwsze wspomnienie z kina? Co to było: fotele, zapach, dźwięk? Co panią uwiodło?
Uwiodło mnie to, że jest ciemno i jest tylko film. Dla mnie to była magia. Oczywiście wiedziałam, że dookoła są ludzie, pewnie czułamby się głupio sama w kinie, ale uwiodło mnie to, że nic nie widać oprócz wielkiego ekranu i filmu.

Dzisiaj młodzi ludzie do kina nie chodzą. Jak przekonać nastolatków, że kino jest ważniejsze niż scrollowanie telefonu?
Fundacja Legalna Kultura przeprowadza teraz na ten temat badania i naprawdę boję się, że jeśli nie będziemy młodemu człowiekowi po prostu pokazywać kinowego ekranu i tej różnicy, nie wspominając o dźwięku i innych walorach – ale sprowadźmy to na razie do rozmiaru ekranu – to nie doczekamy się kolejnych widzów. Trudno tęsknić za czymś i doceniać coś, o czym nie ma się pojęcia. Jeżeli ktoś nie oglądał filmu na dużym ekranie, nie ma perspektywy, że coś traci, że dokonuje jakiegoś wyboru.

Co mówią badania? Dlaczego np. nie chodzi się już na randki do kina?

W dużej mierze chodzi o cenę biletu, choć wiem, że w kinach studyjnych jest niższa i bez dramatu. I o czas – młody człowiek też ma go coraz mniej. Natomiast u młodego człowieka, który jeszcze uczęszcza do szkoły, zauważyliśmy ciekawą rzecz w badaniach europejskich: najmniej piratowanych filmów jest w grupie do 18.–20. roku życia, czyli wśród tych, którzy mieszkają z rodzicami i korzystają z wykupionych przez nich abonamentów platform streamingowych. Zaraz potem zaczyna się grupa wiekowa, która piratuje najwięcej i to jest dziwne.

Czyli młodzi wychodzą z domu i już nie chcą płacić?
Tak. I muszą sobie radzić sami. A to, że zanika wartość ekranu kinowego, wynika z porównania, że za miesiąc serwisu zapłaci się 35 zł, a tyle kosztuje jeden bilet do multiplexu. Wygrywa tzw. racjonalne myślenie. Mam nadzieję, że to nie doprowadzi do tego, że kino spadnie do rangi teatru i będziemy wychodzić do kina jak na spektakl.

Co młodzi dostaną w kinie, czego nie da żadna platforma ani smartfon?
Właśnie o to chodzi, że oni często nie uświadamiają sobie, że obejrzenie filmu na wielkim ekranie, z świetnym dźwiękiem jeden do jednego, we wspólnocie widzów, to zupełnie magia. Zbieramy się w czerni kina i jesteśmy tylko my i film. To inny odbiór. Mogę to tłumaczyć na różne sposoby, ale to trzeba przeżyć. Teraz organizujemy kampanię „Kino jest ważne”, bo chcemy zwró-

cić uwagę, by przynajmniej od czasu do czasu przypominąć sobie smak i efekt wielkiego ekranu.

Co pani zdaniem powinno z polskich kin natychmiast zniknąć?
Wiem, że ludzie fatalnie reagują na nadmiar reklam. Z drugiej strony kina muszą się z czegoś utrzymywać. Jeżeli wiemy, że przez pół godziny lecą reklamy, to można po prostu przyjąć pół godziny później i dać kinom zarobić. Ale to jest pytanie, na które nie mam gotowej odpowiedzi.

Co z kinami w małych miejscowościach? Czy Fundacja Legalna Kultura prowadzi tu jakiś projekt?
Tak. Właśnie startujemy z projektem „Otwarte drzwi do kultury”. Przyjeżdżamy do miejscowości, wiasek zasadniczo oddalonych od kina, z dużym, pompowanym ekranem i robimy prawdziwe kino na sali gimnastycznej, z leżakami, z pełnym doświadczeniem wielkiego ekranu. To kwintesencja tego, o czym mówię: zmienia się proporcja człowieka do ekranu i nagle widać, na czym polega magia kina. Robimy warsztaty dla dzieci w różnych grupach wiekowych oraz dla nauczycieli. W międzyczasie pokazujemy uczniom film na wielkim ekranie, a wieczorem gramy dla całej lokalnej społeczności. Chodzi o wspólnotę, bez wykluczania.

Często mówi pani, że „kultura to wspólnota”. Co dziś jest jej spoiwem, tym klejem?
Ogromną ulgą dla ludzi, jak widzę, jest kultura cyfrowa,

pod warunkiem, że korzystamy z niej z czuciem i wiarą w drugiego człowieka. Istnieje mnóstwo legalnych serwisów; my w Legalnej Kulturze prowadzimy Bazę Legalnych Źródeł. Dziś jest w niej ponad 700 serwisów, a gdy zaczynaliśmy, po roku było ich 40. I teraz tak: wszyscy mamy dostęp do tego samego, czy ktoś mieszka w Warszawie, czy na wsi, wraca z pola, zrzuca kalosze i pada na kanapę. To jest wspaniałe, bo w kulturze jesteśmy równi i to może nas jednoczyć. Kiedy pokazuję tę bazę na wielkim ekranie i mówię: wejdźmy w dowolny serwis – w tym samym momencie korzysta z niego pewnie kilka tysięcy ludzi. Należymy do tej wspólnoty, nawet jeśli jesteśmy w małej miejscowości, gdzie mieszka 800 osób, czy na 20, piętrze w jakiejś metropolii.

Mija 20 lat od uchwalenia Ustawy o kinematografii i 20 lat PISF. Co pani zdaniem w PISF działa, a co wymagałoby resetu, czy może poprawki systemowej?
PISF jest ramieniem tej ustawy, a pieniądze muszą się gdzieś kumulować i być procedowane, ktoś musi decydować, kto je dostaje. Słyszałam już trzy albo cztery globalne propozycje przebudowy tego systemu finansowania. Ostatecznie decydują powołane komisje, filmowcy. Jest adrenalina, bo od tych pieniędzy zależy polska kinematografia. A jak bardzo zależy, to widać po boomie filmowym od momentu powstania PISF. Finansowanie zapewnione ustawowo odmieniło losy

polskiego kina. Nie mam kompetencji, by wchodzić w szczegóły decyzji i szukać złotych środków. Przy takich decyzjach zawsze są niezadowoleni i ci, co dostają skrzydeł.

Widzowie także dokładają się do filmowego PKB.
Tak. Nazwijmy to tantiemami, wpływami z reklam, dystrybucji, emisji. Ludzie oglądają filmy i dzięki temu pieniądze płyną. W kinie płacimy za bilet, oglądamy reklamy, ktoś ma z tego zysk, a część środków trafia dalej: do puli tantiem i do PISF-u, zgodnie z mechanizmami ustawowymi. W tym sensie wszyscy mamy udział w finansowaniu polskiego kina.

Jaki film z ostatnich premier trzeba pani zdaniem zobaczyć wyłącznie na dużym ekranie?
Oglądałam ostatnio „Franza Kafkę” i doceniam fakt, że zobaczyłam go na wielkim ekranie. To było spotkanie jeden do jednego. Moje spotkanie z Franzem Kafką nigdy w życiu nie wyglądałoby tak, gdybym obejrzała go w telewizorze. Drugi tytuł to „Chopin, Chopin!”. Wiem, że ten film wzbudził wiele kontrowersji, ale mnie się podobał – ma tak nieprawdopodobną scenografię, że czułam się jak w dawnym Paryżu. To jest po prostu cudowne doświadczenie kinowe. No i wszystkie blockbustery: jak ma na mnie wyjść Godzilla z telefonu albo tabletu? Nie da się. Godzilla może wyjść tylko z wielkiego ekranu.

Jaka jest według pani najlepsza sala kinowa w Polsce?
Tu chodzi o wielkość ekranu, ale i o dźwięk. Choć to trudne pytanie – co z tymi kinami, które ich nie mają? – Wszystkie kina są ważne i super, że są! Bardzo lubię Kino Luna w Warszawie – ma ogromny ekran. Uwielbiam też Kino Kijów; czuję się tam rewelacyjnie; mam wrażenie, że to największy ekran, na jakim oglądałam film. Ale jednak, moje ulubione ekrany, to moje ulubione filmy.

Gdyby nagle zniknęło 50 procent pieniędzy na kulturę, to co, pani zdaniem, powinniśmy zostawić przy życiu, a co wyłączyć?
To salomonowe wybory. Poszłabym tropem pytania: co zabrałabym na Księżyc? Miałam ostatnio dylemat: mam dużo filmów na DVD, chciałam je przekazać do biblioteki w małej miejscowości, bo wiem, że się przydadzą. A z drugiej strony pomyślałam: muszę to mieć, bo gdyby coś się wydarzyło, to chcę mieć powrót do dawnej cywilizacji. Nie wyobrażam sobie życia bez filmu, muzyki, książek. To dla mnie podstawowe rzeczy. Na Arkę zabrałabym kino, teatr i kilka nieśmiertelnych koncertów.

Gdyby nie założyła pani Fundacji Legalna Kultura, czym by się pani dziś zajmowała?
Jestem żołnierzem; zawsze na służbie. Zawsze jakieś projekty, zawsze z myślą o innych. Mam we krwi społeczne myślenie, choć może kiedyś nie było ono tak uświadomione. Mnie to kręci, żeby robić coś dla ludzi. Gdy startowała Legalna Kultura i wszyscy stukali się w głowę, to wcale nie było mi miło, ale i tak byłam szczęśliwa, że robię coś, co w moim poczuciu jest ważne. Myślę, że dalej realizowałabym projekty. Moim totalnym marzeniem jest być szefową kina. Ale przecież Legalna Kultura to nie koniec. Nie chodzi też jedynie o działanie tu i teraz, ale o doprowadzenie spraw do końca. Bardzo ważne jest dla mnie, żeby prawo autorskie w wersji „świadomość prawa” weszło do polskiej edukacji. Żadne fakultety, żadne oceny i egzaminy; właśnie chodzi o świadomość, że pewne rzeczy istnieją i że są integralną częścią naszej rzeczywistości. Jeśli w naszych badaniach młodzież, z którą jeszcze nie pracowaliśmy warsztatowo, w 96 procentach odpowiada, że nie słyszała sformułowania „własność intelektualna”, no to jest dramat. Czego mamy oczekiwać? Karać, nagradzać? Za co, skoro nie są w temacie? To musi znaleźć się w edukacji. Na tym polega cywilizacja Zachodu, której jesteśmy uczestnikami. Chcę stworzyć dużą platformę kumulującą całą wiedzę o prawach własności intelektualnej, dla zwykłego użytkownika, dla leniwego i dla wnikliwego, dla ucznia, nauczyciela, dla nas wszystkich. Żeby można było po niej swobodnie surfować i korzystać. Nie sztuką jest tylko pisać, jak karać, choć punkt odniesienia w prawie jest ważny, ale ważne, by sprawić, żeby świadomość prawa stała się powszechna. Żeby młody człowiek w wieku 12 lat wiedział, że istnieje własność intelektualna i ma swoje prawa.

CV



FOT. KATARZYNA SOCHA

Kinga Jakubowska
Producentka, promotorka kultury, absolwentka Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Członkini Stowarzyszenia Filmowców Polskich, prezeska Fundacji „Legalna Kultura”.

Okazało się, że gwiazdny anturaż - po latach zapomnienia - jest na tyle atrakcyjny dla widza, że warto za-inwestować weń 20 mln dolarów - pod koniec lat 70. sumy dość niebagatelnej. Przykładowo „Gwiezdne wojny” George’a Lucasa, które miały premierę w maju 1977 r., kosztowały połowę mniej.

Z powrotem do kina

Jerzy Płazewski, nestor polskiej krytyki filmowej, a poza tym pionier analiz nad kinem s.f. nazwał „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” mianem „Kina Nowej Przygody”. Termin szybko stał się kluczem określającym reżyserskie wycieczki końca lat 70. w stronę filmowego wszechświata. A które skutkowały powstaniem wysokobudżetowych widowisk przeznaczonych dla szerokiej publiki.

Jakie cechy miało „Kino Nowej Przygody”? Dynamikę, przygodowość, lekkość, elementy humorystyczne, stosowną scenografię, w której nieodłącznym elementem był kosmita. Zwykle życzliwy, jak w „E.T.”, albo wręcz przeciwnie, jak w „Terminatorze”. Co ważne - takie kino nastawione było na komercję, stąd w ramach nurtu chętnie tworzone nawiązania i sequele, a produkcji filmowej towarzyszyła sprzedaż gadżetów i zabawek.

„Geneza Kina Nowej Przygody - dowodzi w tym duchu Jerzy Szyłak, filmoznawca - wiąże się z dążeniem producentów do tworzenia takich filmów, które sprawiłyby, że widzowie chętnie wydawaliby pieniądze na wizytę w kinie, pomimo rosnącej popularności telewizji (...) Twórcy tego typu widowisk twierdzili też, że kieruje nimi nostalgia za dawnym kinem i chęć tworzenia takich produkcji, jakie sami dawniej z przyjemnością oglądali”.

Wabienie widza

To ostatnie, czyli kinowa nostalgia, jest w przypadku Stevena Spielberga dość istotne. Urodzony w 1946 r. wychował się - jak sam twierdzi w wywiadach - na fantastyczno-naukowej klasycie lat 50. i 60.: „Wojnie światów”, „Dniu, w którym zatrzymała się Ziemia”, „Inwazji porywaczy ciał”, czy wreszcie „Planie 9 z kosmosu”, słusznie uznanym za najgorszy film w historii amerykańskiej s.f.

Można zrozumieć Spielbergowego sentyment do tamtych ramot, których przesłanie osadzone było w klimacie zimnej wojny, zaś od strony wizualnej przypominały paradokumentalne propagandówki. „Wojna światów”, nagrodzona - jak na ironię - Oscarem za efekty specjalne, ma w sobie tyleż sensacyjności co nudy, a „Inwazja porywaczy ciał”, która aż kusi tytułem, skupia się jedynie na budowaniu u oglądających parano-



„Bliskie spotkania trzeciego stopnia” były pierwsze, ale to „Gwiezdne wojny” zdobyły większą popularność. Tym niemniej to film Spielberga zmienił kino SF raz na zawsze

KOSMICI PO LIFTINGU WEDŁUG STEVENA SPIELBERGA

15 listopada 1977 r. miała miejsce premiera „Bliskich spotkań trzeciego stopnia” - filmu Stevena Spielberga, człowieka, który popkulturę zabrał ponownie w kosmos

Mariusz Grabowski

icznego klimatu. O „Planie 9 z kosmosu” lepiej zamilczeć.

Powrót do tematyki kosmicznej w zamyśle Spielberga i Lucasa miał być czymś zupełnie innym. Szyłak pisze: „miał zadziwić i zainteresować widza atrakcyjnymi plenerami, obfitością efektów specjalnych i zaskakującymi pomysłami inscenizacyjnymi (...) z wieloma zwrotami i ciekawymi wydarzeniami. W tak intensywnie prowadzoną fabułę twórcy wplatali dowcipy wypowiadzi i sceny komiczne” (tekst „Kino Nowej Przygody. Jego cechy i granice” z 2011 r.).

Kierunek: kosmos

O ile w „Gwiezdnym wojnach” dowcipnisiów nie brakuje, to „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” są pod tym względem stonowane. Główny bohater - pracujący w elektrowni Roy Neary - ma za zadanie zbadać przyczyny zakłóceń energetycznych na znacznym obszarze stanu Indiana. Gdy zjawia się na miejscu, jego furgonetka zostaje nagle oświetlona intensywnym światłem i wpada w turbulencje. Ta-

kie oko w oko z kosmitami raczej nie skłania do dowcipkowania.

Od tego momentu celem egzystencji Roya jest pogoń za obcymi. Co więcej, jest głęboko przekonany, że spotkanie z obcą formą życia dojdzie u stóp góry Devils Tower, znajdującej się w Hrabstwie Crook w stanie Wyoming. Dodatkowo w sprawę miesza się armia, która także chce uczestniczyć w spotkaniu z kosmitami. W finale dochodzi do spotkania z obcą cywilizacją. Na tyle udanego, że Roy wsiada na statek przybyszów i uszczęśliwiony wylatuje w ich towarzystwie w gwiazdy.

Naïwne? Zapewne, ale fabuła odgrywała w tym filmie znaczącą rolę, nie mniej niż wizualność, za którą „Bliskie spotkania” dostała Oscara. Faktycznie, zdjęcia autorstwa Vilmosa Zsigmonda, ukazujące pulsujący światłem i muzyką statek Obcych robiły piorunujące wrażenie.

Profesor od UFO

W przeciwieństwie do innych twórców, Spielberg miał na tyle rozsądku, że w filmie ani razu nie widzimy kosmitów. Ich rozświe-

tlony statek wystarczył oglądającym do uruchomienia wyobraźni. Zresztą, jak twierdził później w wywiadach, chciał oddać na ekranie własną wizję tego, jak „naprawdę mógłby wyglądać nasz pierwszy kontakt z inną cywilizacją”.

Konsultantem „Bliskich spotkań” był prof. Josef Allen Hynek, astronom a z zamiłowania ufoolog, doradca US Army w kwestiach kontaktów z kosmitami. W sferach naukowych Hynek traktowany był z przynależnym szacunkiem, ale jego nazwisko dodawało filmowi stosownej powagi. Pojawił się zresztą na ekranie w końcowych scenach.

Za wojskowe pieniądze Hynek, przez blisko dwie dekady, realizował tzw. Project Blue Book, który dotyczył wyłącznie obserwacji Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. W jego ramach oficjalnie przebadano 12 tys. 618 przypadków UFO. Można sobie wyobrazić, że dla Spielberga był prawdziwym autorytetem w kwestiach pozaziemskich cywilizacji, a ich nocne pogaduchy o kosmitach musiały być nad wyraz ekscytujące.

Jak go nazwiemy?

Przejdźmy do kwestii nomenklaturowych. Gdy już „Bliskie spotkania” święciły ekranowe triumfy, wśród fanów rozgorzała dyskusja nad tytułem. Chociaż w samym filmie nigdy nie pojawia się wytłumaczenie tytułu, nietrudno odgadnąć, że „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” to bezpośredni kontakt z obcą formą życia. Sformułowanie pochodzi wprost od wspomnianego wyżej Josefa Allena Hynka, który stosował je w swoich książkach.

„Mniej bliskie” są zatem spotkania drugiego i pierwszego stopnia: spotkanie drugiego stopnia to odkrycie dowodów potwierdzających wizytę obcych form życia na Ziemi, a spotkanie pierwszego stopnia to jedynie zobaczenie UFO.

Logicznie więc tytuł jest sprzeczny - podnoszono w licznych sporach na temat filmu. Owładnięty paranoją na temat ufoludków Roy Neary powinien być bohaterem inaczej zatytułowanej fabuły. W 1980 r. Spielberg wyznał w rozmowie z dziennikarzami „The Magazine of Fan-

tasy & Science Fiction”, że początkowo film miał mieć tytuł „The Visit”, ale nie spodobał się gościom wykładającym pieniądze, czyli szefom Columbia Pictures. Był - jak argumentowali - zbyt „pospolity”, za mało pozabawiony „elementem tajemniczości”.

A co z rodziną?

Sięgnijmy do kolejnego wywiadu Spielberga, w którym odnosi się do innego zarzutu: zakończenia filmu i beztróskiego opuszczenia Ziemi przez Roya Neary’ego. W 2005 r. reżyser dla „Cinema Confidential” mówił tak: „Wiem, że »Bliskie spotkania« opowiadały o facecie, którego nienasycona ciekawość, rozwijająca się obsesja i rodzaj psychicznej implantacji odciągnęły od rodziny, i który, tylko raz się obejrzawszy, wszedł na statek-matkę. To było zanim miałem dzieci. To był 1977 rok. Więc napisałem to beztrósko. Dzisiaj nigdy nie pozwoliłbym facetowi zostawić rodziny i iść na statek”.

Zarzut o nie dość prorodzinne zachowanie głównego bohatera wydaje się dziś co najmniej zabawny. Po „Obcym - 8. pasażerze Nostromo”, „Ukrytym wymiarze”, „Galaktyce terroru” czy „Ciemnej stronie Księżyca”, w których krwawa jatka miesza się z kaskadami strachu, zarzuty obrońców rodziny i ogniska domowego wydają się świadectwem zamierzchłej epoki. Kino s.f. poszło w zupełnie innym kierunku niż ten, który wytyczyli Spielberg i Lucas.

Kosmici i pieniądze

Na koniec oddajmy jeszcze raz głos Jerzemu Szyłakowi, który trafnie zauważa, że za „Kinem Nowej Przygody”, tak jak za wszystkim fenomenami Hollywoodu, stały pieniądze. „Hollywoodzcy producenci walczyli o to, by do kin powrócili widzowie, skutecznie od nich odciągani przez telewizję. »Gwiezdne wojny«, które miały premierę w maju 1977 roku, prezentowały się nader skromnie w zestawieniu z innymi filmami, jakie wówczas powstały. Nie towarzyszyła im agresywna kampania reklamowa. Były filmem zrealizowanym za stosunkowo niewielkie pieniądze (13 mln dolarów; dla porównania - budżet »King Konga« z 1976 roku wynosił 24 mln) i nie występowały w nim popularne gwiazdy. A jednak odniosły sukces natychmiastowy i tak ogromny, że »Bliskie spotkania trzeciego stopnia« Stevena Spielberga, które miały premierę w listopadzie 1977 roku, postrzegano już jako przedłużenie fali zapoczątkowanej przez obraz Lucasa”.

Mniejsza już o to, czy palmę pierwszeństwa wręczymy Spielbergowi czy Lucasowi. Ich filmy stanowiły powrót kina w kosmos, rzeczywistość, na której długo jeszcze zarabiać będą kolejne pokolenia filmowców.

Minister: Ja już nie widzę w Tusku tej takiej sportowej złości. Wracając do Polski, żeby się zapisać w historii jako dwukrotny premier, najdłużej urzędujący po 1989 roku i ten, który odsunął PiS od władzy. W pewnym sensie już się więc w historii zapisał, ale liczy się to, co będzie na końcu i jak ludzie cię zapamiętają.

Minister: Ja to widzę w jego oczach. Jest zupełnie inny niż gdy zaczynaliśmy w grudniu 2023 roku. Jest zmęczony, niezadowolony, wręcz sfrustrowany brakiem sterowności koalicji. Wie, że większości spraw już nie załatwi. A jednocześnie jest jedynym, który w całej koalicji cieszy się estymą. Mimo to nie ma siły, żeby przeforować na przykład związki partnerskie albo liberalizację prawa aborcyjnego. Myślę, że ta bezsilność męczy go najbardziej.

Współtwórca kampanii wyborczych: Trendy światowe w polityce są niekorzystne dla nas i Tusk o tym wie. Na pewno myśli o tym, jak do 2027 roku trzymać tę całą konstrukcję w ryzach. A może też o tym, jaką legendę zbudować przed przejściem do opozycji. Być może na jego miejscu koncentrowałbym się teraz właśnie na tym. Mam jednak dziwne wrażenie, że on znajdzie jakiś pretekst i po prostu ucieknie. Może wyjedzie z Polski, bo nie będzie chciał być znowu ciągany po prokuraturach. Może negocjować swoje odejście z kimś, kto go zastąpi na funkcji premiera. Może Sikorski? A sam mógłby zostać marszałkiem Sejmu. Oczywiście to jest na razie polityczne science fiction, ale jakieś scenariusze na pewno są na stole.

Minister: Dzisiaj widać, że Donald trzyma w poczekalni co najmniej trzy osoby, którym może dać nadzieję na to, że w przyszłości w jakiejś formie go zastąpią. To jest oczywiście Radek Sikorski, Władek Kosiniak-Kamysz, a także – i tu może pana zaskoczyć – Adam Szłapka. Widać, że Tusk mocno w niego inwestuje. To na razie jest oczywiście projekt w fazie początkowej, ale wydaje mi się, że dla Donalda on ma jakiś potencjał na przyszłość. Między innymi dlatego zrobił ze Szłapki rzecznika rządu. Ale na razie nikomu nie wysłał sygnału, żeby się szykował na coś dużego.

Doradca polityczny: To jest esencja metody Tuska: nie podejmować decyzji, dopóki to jest możliwe. Nie ma sensu robić przedwczesnych działań. Warto jak najdłużej trzymać w ręku wszystkie karty.

Ważny polityk obozu władzy: Słyszę te pomysły dotyczące wymiany premiera. Jego następcą i tak byłby koncesjonowany szefem rządu, bo

To Trump osobiście wyciął Tuska ze spotkania w szerszym formacie w sprawie Ukrainy, tuż przed jego rozmową z Władimirem Putinem na Alasce – pisze w swojej książce dziennikarz Kamil Dziubka



FOT. ADAM JANKOWSKI

„Donald trzyma w poczekalni co najmniej trzy osoby, którym może dać nadzieję na to, że w przyszłości w jakiejś formie go zastąpią” – mówi informator

SUMA WIELU KŁOPOTÓW DONALDA TUSKA

nad nim stałby Tusk. Ale założmy, że Kierownik wpadłby na jakiś genialny pomysł personalny. Znalazłby kandydata, który miałby idealne cechy Trzaskowskiego i Sikorskiego, bez ich wad. Przecież znając realia tej koalicji, zaraz przyszedłby do niego Szymon, Władek i Włodek i każdy z nich by stwierdził, że ma lepszy pomysł. A dlaczego po wyborach tak się ślimaczyła rekonstrukcja rządu? Bo nawet nie było pewne, kto będzie marszałkiem. Nie było wiadomo, jak ułożyć zdrowie, gospodarkę, sport, kto ma być wicepremierem, kto wypada z rządu. No i nie ma co udawać, że nie mamy potężnego problemu z Amerykanami.

Kłopot z Trumpem

Minister: Pewnym sygnałem, jakie może być podejście obecnej ekipy w Waszyngtonie do nas, było to, że do Warszawy

na ambasadora nie wysłali Mosbacherowej, która była tu za pierwszej kadencji Trumpa. Tym razem postawili na ultrakonserwatystę. Ją wysłali do Rumunii. Ewidentnie u Trumpa wiedzieli, że ona oprócz tego, że miała dobre relacje z PiS, cały czas utrzymywała świetne kontakty z nami. Najśmieszniejsze, że Amerykanie za czasów PiS traktowali Polskę jak kraj skolonizowany i pisowcy tak się dawali traktować. Obojętnie czy był tam Trump, czy Biden, po prostu Amerykanie mówili, że ma być tak i tak. Byłem w szoku, jak się dowiedziałem, że ambasador Brzezinski, który przecież był z ekipy Bidena i którego bardzo lubię, po prostu dzwonił, że chce się zaraz spotkać z premierem i chwilę później przyjeżdżał do KPRM. No przecież to jest wstyd.

Doradca polityczny: Amerykanie przysyłają teraz do Polski

na ambasadora ortodoksyjnego Żyda, który nie cierpi Tuska i jest też źle nastawiony do Radka Sikorskiego. A na dodatek chce być de facto ambasadorem dwóch państw, czyli również reprezentantem interesów Izraela. Zresztą doskonale było widać, jak oni się zachowywali w trakcie naszej kampanii prezydenckiej. Słyszałem też, że syn Trumpa zainteresował się prowadzeniem jakichś biznesów w Polsce. Myślę, że Tusk początkowo nie docenił zmiany, jaka się dokonała w USA po tym, gdy Trump wrócił do władzy. To nie jest zwykła wymiana ekip, jaka następowała na przykład wtedy, gdy prezydentem został Obama i pozbywał się ludzi Busha. W Waszyngtonie dzisiaj stara gwardia republikańska nie zna dnia ani godziny. Trump nie przejmuje się trójpodziałem władzy. Sędzia? Sędziego wybrało jedenaście tysięcy osób,

a Trumpa dziewięćdziesiąt milionów. Dlaczego on ma słuchać sędziego? A jak Trump już zupełnie przestanie słuchać sędziów, będziemy mieli do czynienia z zupełnie innym światem.

Minister: Trump potraktował swoje ostatnie zwycięstwo jako akt uniewinnienia go od wszelkich zarzutów i oskarżeń. Wygrał, choć miał przeciw sobie media i część wymiaru sprawiedliwości. Teraz PiS tak samo traktuje zwycięstwo Nawrockiego – jako glejt na dorżnięcie watahy po kolejnych wyborach parlamentarnych.

Dyplomata: Amerykanie ewidentnie chcą, żeby w Polsce zmienił się rząd. Nie chcą Tuska. Skala niechęci do niego w Białym Domu jest olbrzymia. To naprawdę nie jest tak, że nikogo tam nie obchodzi, kto tu jest premierem. My jesteśmy w tej chwili zbyt ważnym krajem dla USA, żeby tam się nikt takimi sprawami nie przejmował.

Doświadczony parlamentarzysta: Ludzie w Platformie się śmiali z tego, jak ludzie mówili, że problemem w relacjach Warszawa-Waszyngton mogą być wypowiedzi Tuska sprzed lat, gdy on otwarcie mówił o tym, że Donald Trump jest ruskim agentem. A w Waszyngtonie o tych wypowiedziach dziś wie dosłownie każdy, od którego cokolwiek zależy za oceanem.

Ważny urzędnik: To Trump osobiście wyciął Tuska ze spotkania w szerszym formacie w sprawie Ukrainy, tuż przed jego rozmową z Władimirem Putinem na Alasce. Jak się dowiedział, że Tusk ma reprezentować Polskę, wysłał sygnał, że woli Nawrockiego. Spotkanie miało się odbyć online i w związku z tą zmianą trzeba było w ostatniej chwili przełączyć się na Signala, zamiast korzystać z zabezpieczonego łącza. A Nawrocki wszedł w to jak w masło. Tusk był przejechany. Mocno go to trafiło, bo się okazało, że nowy prezydent chce wchodzić w działkę, którą on właściwie zmonopolizował w poprzednich dwóch latach. A najgorsze było to, że na pierwszym spotkaniu w cztery oczy premiera z Karolem Nawrockim ten mu powiedział wprost, że jego podejście do Ukrainy jest inne niż Tuska. Odciał się nawet w tej rozmowie od dotychczasowej polityki Dudy w tym zakresie.

Ukraina

Ważny urzędnik: Może pana zaskoczę, ale Tusk wcale nie jest wielkim entuzjastą przyjęcia Ukrainy do Unii Europejskiej. A już na pewno nie na takich warunkach, jak to się odbywa w przypadku akcesji innych państw. To wynika między innymi z gigantycznego rolnictwa. Ukraińcy by nas zalali swoimi tanimi produktami.

Doświadczony parlamentarzysta: Tusk doskonale zrozumiał, że emocja antyukraińska będzie jedną z kluczowych w kampanii prezydenckiej. Natomiast niestety eskalacja tych nastrojów bardzo nam zaszkodziła zarówno w Ukrainie, jak i w ogóle międzynarodowo. To wszystko bardzo wzmocniło rosyjską narrację. Zarówno Tusk, jak i Kaczyński jednak widzą pewne granice. To są jednak politycznie ludzie starej daty. Są naprawdę przywiązani do paradygmatów polskiej polityki zagranicznej, nawet jeżeli Kaczyński w jakimś sensie wykoślawił, ale zasadnicze rzeczy są niezmiennie. Zwłaszcza, że graniczymy z Rosją i to się nie zmienia.

Ważny urzędnik: Szczerze? Mamy z Ukraińcami wielki problem. Dasz im palec, chcą całą rękę. W trakcie naszej prezydentury w Unii Europejskiej mieliśmy nadzieję na otwarcie pierwszych rozdziałów negocjacji dotyczących członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej. A Zełenski chciał, żeby otworzyć wszystkie rozdziały i najlepiej skończyć wszystko w dwa lata. To było kompletnie nierealne. Zresztą nie udało się otworzyć ani jednego rozdziału, bo weto postawiły Węgry. Tusk sobie zdaje też sprawę z tego, że w wielu stolicach unijnych Ukraina mało kogo obchodzi. O wiele bardziej zależy niektórym na przyłączeniu do Unii Europejskiej krajów bałkańskich, czyli Macedonii, Bośni i Hercegowiny czy Czarnogóry.

Dyplomata: Myśli pan, że mamy jakąkolwiek wiedzę na temat tego, co Ukraińcy ustalają z Amerykanami? Realnie nie mamy żadnej wiedzy. A wychodzi polski premier z Zełenskim i ogłaszają, że jesteśmy najważniejszymi partnerami Kijowa. My się kiedyś drogą wywiadowczą dowiedzieliśmy, że Joe Biden podobno prowadził jakieś rozmowy z Zełenskim, by pod koniec swojej kadencji w Białym Domu ogłosić otwarcie ścieżki Ukrainy do NATO. Dla nas to byłby ogromny problem, bo wtedy zaczęłoby się zupełnie inne myślenie o granicach NATO i fłance wschodniej. Z nami oczywiście nikt tego nie ustalał.

KSIAŻKA



Kamil Dziubka „Kierownik”, Wyd. Czerwone i Czarne, Warszawa 2025



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Liberalizm tak, wypaczenia nie?
Fałszywe tropy Zakarii i Fukuyamy

Fareed Zakaria - jedna z ikon CNN z okresu jej największych zasięgów. W programie „GPS” od 2008 r. co tydzień tłumaczy widzom, jak bardzo złożony i skomplikowany jest współczesny świat. Próbuje nawigować po mapie współczesnych współzależności i międzynarodowych powiązań, stał się jednym z proroków współczesnej globalizacji spod znaku liberalizmu.

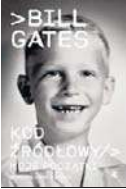
Dziś liberalizm przeżywa głęboki kryzys. Jego fundamenty są podmywane do tego stopnia, że nawet w USA prezydentem został człowiek, który określenie „demokracja liberalna” traktuje bardziej jako inwektywę niż opis stanu ustrojowego. Zakaria może wziąć to sobie do serca; podmywane są fundamenty świata, który jako dziennikarz zaangażowany (w 2008 r. wsparł Baracka Obamę, był lektorem audiobooka do jego wspomnień „Ziemia obiecana”) współtworzył. Nic dziwnego, że reaguje.

Efektom jest książka „Czas rewolucji”. Zakaria uważa, że żyjemy w momencie przełomowym i porównuje go do innych tego typu zjawisk: rewolucji francuskiej, czy rewolucji przemysłowej. Wskazuje też na głębokie przemiany, jakie sprawiają, że współczesność stała się tak rozchwiania. „Kryzys globalnego liberalizmu nie wziął się znikąd. Jest wynikiem szybko zmieniających się społeczeństw i przywódców, którzy wykorzystują obawy przed zmianami” - pisze, wskazując na zmiany gospodarcze, technologiczne i społeczne stojące za tymi procesami. Wielowątkowo - pod tym względem jego książkę zarzucić nic nie można.

Uderza coś innego. Gdy ją czytałem, miałem wrażenie déjà vu z lektury „Zamieszania z liberalizmem” Francis Fukuyamy. Autor terminu „koniec historii” wskazywał na wynaturzenia demokracji liberalnej związane z odejściem od liberalizmu klasycznego. „Liberalizm tak, wypaczenia nie” - tak krótko można by podsumować jego książkę. Zakaria w swojej trochę inaczej rozkłada akcenty, ale to zdanie do niego też pasuje. Ich książki są inne, ale w wielu tezach się rymują.

I pomijają kluczową kwestię. Globalna demokracja liberalna stworzyła klasę przywódców, którzy popełnili całą serię błędów, jak kryzys migracyjny, czy „reset” z Rosją. To te błędy w dużej mierze doprowadziły do tego, że coraz więcej osób na Zachodzie orientuje się na inny typ przywództwa. Ludzie zawiedli, nie doktryna. Ludzie, których Fukuyama i Zakaria popierali. Bez wzięcia poprawki na to obecnego kryzysu Zachodu nie uda się przełamać.

Fareed Zakaria „Czas rewolucji. Postęp i opór od 1600 roku do współczesności”, wyd. Prószyński, Warszawa 2025, cena 79,90 zł



Droga Billa Gatesa do sławy i miliardów
Niedawno Bill Gates zaskoczył komentarzami, że wzmocnienie wokół zmian klimatycznych jest przesadzone. A w tej autobiografii pisze, w jaki sposób zaczęła się jego droga w świecie cyfrowego biznesu. Bill Gates „Kod źródłowy”, wyd. W.A.B., Warszawa 2025, cena 79,99 zł



Melancholiczne opowiadania o życiu
Zbiór opowiadań napisanych przez zmarłego dwa lata temu gdańskiego pisarza. Typowa dla autora „Mercedes-Benz” melancholia w kolejnych wieloznacznych tekstach. Paweł Huelle „Szczyśliwe dni. Opowiadania wszystkie”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 99,99 zł



Kim naprawdę był Marian Zembala
40 lat po pierwszym przeszczipie serca w Polsce otrzymujemy biografię jednego z ojców tamtego sukcesu. Życie Zembala w detalach. Dariusz Kortko, Judyta Watóła „Zembala. Szpital to ja. Historia słynnego kardiochirurga”, wyd. Agora, Warszawa 2025, cena 59,99 zł



Thriller medyczny zaskakującego duetu
Znana aktorka w duecie z uznanym twórcą książek kryminalnych napisali thriller o lekarce uwikłanej w wielopiętrową aferę. Jak daleko ona się posunie, by dotrzeć do prawdy? Harlan Coben, Reese Witherspoon „Zanim powiesz żegnaj”, wyd. Albatros, Warszawa 2025, cena 54,90 zł



Zanim pojawiły się rysunki Banksy’ego
Dziś to Banksy jest ikoną street-artu. Ale zanim Brytyjczyk rozwinął skrzydła, świat pośród rozmaitych graffiti szukał prac Brada Goocha. Teraz poznajemy jego historię. Brad Gooch „Keith Haring. Linia, która zmieniła sztukę”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 99,99 zł



Dziennikowe cierpienia Alberta Camusa
Autor „Dżumy” porządkował swoje przeżycia prowadząc dziennik. Bardziej wychodziły mu notatki, całość nie ma linearnego charakteru, ale powstała. Choć pisanie, twierdzi Camus, szło ciężko. Albert Camus „Notatniki”, wyd. PIW, Warszawa 2025, cena 79 zł



Międzygalaktyczne przygody
Komiksowa historia Adama Strange’a, archeologa, który - nieoczekiwanie dla samego siebie - zaczyna podróżować między planetami. Tylko czy właściwie w jego przygody ktoś jest w stanie uwierzyć? Tom King „Strange Adventures”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 169,99 zł



Gdy śmierć w szpitalu ma swoje drugie dno
Adam Kay zdobył popularność pozycjami opisującymi - z typowo brytyjskim poczuciem humoru - specyfikę pracy lekarza w szpitalu. Teraz próbuje swoich sił jako autor kryminału. Oczywiście, medycznego. Adam Kay „Wyjątkowo trudny przypadek”, wyd. Insignis, Kraków 2025, cena 49,99 zł

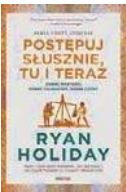
Polska
Piątek-niedziela, 14-16.11.2025



Życie rodzin astronautów z USA
Po tym, jak Sławosz Uznański-Wiśniewski polecił w kosmos, Polacy wciągnęli się w życie pozaziemskie. Ta książka opisuje, jak to wyglądało w przypadku astronautów USA. Tom Wolfe „Najlepsi. Kowboje, którzy polecili w kosmos”, wyd. Zys i s-ka, Poznań 2025, cena 69,90 zł



Jak Francuzi i Anglicy układali Bliski Wschód
Współczesna historia Bliskiego Wschodu. Tytułowa „linia na piasku” to umowa Sykes-Picot z 1916 r. dzieląca je na dwie części. Ten podział wpłynął na losy całego regionu - i całych narodów. James Barr „Linia na piasku”, wyd. Prószyński, Warszawa 2025, cena 84,90 zł



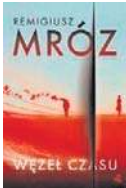
Stoicyzm jest dobry na wszystko
Jak złapać równowagę w rozchwianym świecie? Autor mówi, jak to zrobić odwołując się do klasycznych stoickich schematów. Ryan Holiday „Postępuj słusznie, tu i teraz. Dobro wartości, dobry charakter, dobre czyny”, wyd. Onepress, Gliwice 2025, cena 59 zł



Niezabitowska i Falk. Dwa światy
Rozmowa Małgorzaty Niezabitowskiej z Feliksem Falkiem. Dawną rzeczniczkę rządu Mazowieckiego łączy z reżyserem wieloletnia przyjaźń. Tu rozmawiają o tym, co ich właściwie trzyma razem. Małgorzata Niezabitowska, Feliks Falk „Na wzburzonych falach”, wyd. Lira, Warszawa 2025, cena 82,99 zł



Gdy Lem jeszcze wierzył w socjalizm
Druga w dorobku powieść Stanisława Lema. Ukazała się w 1955 r. i sporo w niej typowych dla epoki odwołań do stalinizmu. Ale mamy też popis lemowskiej fantazji. Stanisław Lem „Obłok Magellana”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 59,90 zł



Opole, Oppeln i wehikuł czasu
Mróz wraca tą książką do rodzinnego Opola. Zresztą powrotów jest więcej - bo jego bohaterka cofa się w czasie do momentu, gdy to miasto było częścią Niemiec. Jak działa ten wehikuł czasu? Remigiusz Mróz „Węzeł czasu”, wyd. W.A.B., Warszawa 2025, cena 49,99 zł



W mrocznej rzeczywistości Ashai
Ciąg dalszy cyklu fantasy o Rezkynie, wychowanym w królestwie Ashai, ostatnim świadku życia w Fortedy. Bohater szuka swojego miejsca na świecie. Znajdzie go? Kel Kade „Kroniki Mroku. Rycerz cieni”, wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2025, cena 62,90 zł



O tych, co żyją blisko morza
Klasyczna powieść Victora Hugo z 1866 r. przedstawiona w wersji komiksowej. Fabularny dramat połączony z bardzo wiarygodnym przedstawieniem specyfiki życia w symbiozie z morzem. Victor Hugo, Michel Durand „Pracownicy morza”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 129,99 zł

Kształtują wiedzę, ale też charakter, marzenia i odwagę

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

W Plebiscycie Edukacyjnym 2025 wyróżniamy tych, którzy nie tylko uczą, lecz także inspirują. Tych, którzy potrafią w uczniach rozbudzić pasję, ciekawość świata i wiarę w siebie.

Uczestnicy wielkiego Plebiscytu Edukacyjnego 2025 to ludzie, dla których szkolne sale są miejscem spotkań, roz-

mowy i odkrywania talentów, a nie tylko przekazywania materiału. Każda z osób nominowanych w tej akcji ma swoją własną, wspianą historię do opowiedzenia. Historii o uczniach, chwilach wzruszenia. O pracy, która staje się częścią życia - misją i powołaniem, a nie tylko zawodem. Dzięki takim właśnie osobom - które dziś możecie bliżej poznać z naszej publikacji - szkoła jawi się nie tylko jako instytucja, ale również prze-

strzeń, w której rodzą się przyszłe pokolenia - pełne odwagi, empatii i ambicji.

To oni kształtują nie tylko ich wiedzę, ale też charakter, marzenia i odwagę, by sięgać po więcej. Ci z nas, którzy już dawno pokończyli swoje szkoły, wiedzą, że właśnie tacy nauczyciele, pedagodzy zostają w pamięci na całe życie. A jak oni widzą swoją pracę? Tego możemy dowiedzieć się właśnie z rozmów z nimi. Mówią, że praca na-

uczyciela to codzienność pełna emocji, odpowiedzialności i chwil, które zostają także w ich sercach na zawsze. Bo przecież każda lekcja to nie tylko przekazywanie wiedzy, ale też spotkanie z człowiekiem, który dorasta na ich oczach. Wspieranie w tym procesie wymaga nie tylko cierpliwości i zaangażowania, ale także wiary w sens tego, co się robi, zasiewa - bo przecież czasami efekty, plony widać dopiero po latach...

LIDERZY RANKINGÓW

Oto lista nauczycieli, którzy od początku głosowania do czwartku, do godz. 10 zdobyli najwięcej głosów wśród liderów z powiatów oraz lista liderów głosowania na dyrektorów, nauczycieli akademickich, psychologów i pedagogów szkolnych oraz placówki edukacyjne.

NAUCZYCIEL PRZEDSZKOLA

1. **Wioleta Nowotarska**, Przedszkole nr 216, Warszawa
2. **Anna Szewczyk**, Samorządowe Przedszkole, Szczawin Kościelny
3. **Agnieszka Dubinska**, Przedszkole Miejskie nr 3, Mińsk Mazowiecki
4. **Ewa Weronika Makoć**, Zespół Placówek Oświatowych nr 3, Mława
5. **Beata Giszczak**, Przedszkole Samorządowe nr 1, Wieliszew

NAUCZYCIEL KLAS O-III

1. **Kamil Mackiewicz**, Szkoła Podstawowa nr 406, Warszawa
2. **Dorota Peplawska**, Szkoła Podstawowa nr 4 im. Papieża Jana Pawła II, Płońsk
3. **Sylvia Dagmara Krysiak**, Przedszkole w Zespole Szkół, Ceranów
4. **Agnieszka Urbanek**, Szkoła Podstawowa im. Żołnierzy i Pułku Piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego, Olszyc Szlachecki
5. **Ewa Bazylczuk**, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Komisji Edukacji Narodowej, Siedlce

NAUCZYCIEL KLAS IV-VIII

1. **Monika Sikorska**, Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 330 im. Nauczycieli Tajnego Nauczania, Warszawa
2. **Iwona Salkiewicz**, Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II, Łazy
3. **Elżbieta Kubińska**, Niepubliczna Szkoła Podstawowa Sapere Aude, Rąjszew
4. **Martyna Sęk**, Szkoła Podstawowa nr 6 im. Henryka Sienkiewicza, Pruszków
5. **Monika Szyłka-Szumińska**, Szkoła Podstawowa Specjalna nr 24, Płock

NAUCZYCIEL SZKOŁY PONADPODSTAWOWEJ

1. **Monika Alwas**, Zespół Szkół Ekonomicznych, Mińsk Mazowiecki
2. **Justyna Wróblewska**, Zespół Szkół nr 5 im. Stefana Kisielewskiego, Warszawa
3. **Magdalena Krzemińska**, Zespół Szkół nr 3 im. Cecylii Plater-Zyberkówny, Piaseczno
4. **Maria Kosińska**, Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych im. Jana Pawła II, Lipsko
5. **Zofia Bernatowicz**, I Liceum Ogólnokształcące im. Cypriana Kamila Norwida, Wyszków

NAUCZYCIEL AKADEMICKI

1. **mgr inż. Sławomir Dańczak**, Polsko-Japońska Akademia Technik Komputerowych, Warszawa
2. **dr Agata Opalska-Kasprzak**, Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny, Siedlce
3. **Paweł Więckowski**, Akademia Obrony Narodowej, Warszawa

DYREKTOR PLACÓWKI EDUKACYJNEJ

1. **Joanna Mikulska**, Publiczna Szkoła Podstawowa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Potworów
2. **Krzysztof Turkowska**, Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kornela Makuszyńskiego, Ugniewo
3. **Elwira Pawluk**, Publiczna Szkoła Podstawowa nr 3 im. Mikołaja Kopernika, Sokółów Podlaski

PSYCHOLOG LUB PEDAGOG SZKOLNY

1. **Jolanta Walczak**, Zespół Placówek Oświatowych, Jednorozec
2. **Marlena Kowalska**, Zespół Szkół, Głusków
3. **Aleksandra Wydrzyńska**, Szkoły im.72 Pułku Piechoty w Radomiu, Radom

PRZEDSZKOLE ROKU

1. **Przedszkole nr 255**, Warszawa, Korotyńskiego 3
2. **Przedszkole Językowe Kangurek**, Ostrołęka, Targowa 11
3. **Przedszkole Niepubliczne Tęczowa Kraina**, Mrozy, Górna 11a

SZKOŁA ROKU

1. **Niepubliczna Szkoła Podstawowa nr 38 z Oddziałami Integracyjnymi im. Ireny Sendlerowej**, Warszawa, Skrajna 10
2. **Niepubliczna Szkoła Podstawowa**, Nowe Kanigowo 17
3. **Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II**, Leoncin, Singera 3

SZKOŁA JĘZYKOWA ROKU

1. **GoBest - Szkoła językowa online**, Warszawa
2. **SmartStation - Centrum Edukacyjne**, Radom, Zbrowskiego 9/1
3. **Andromeda-Centrum Edukacyjne**, Mińsk Mazowiecki, pl. Kilińskiego 1

Sprawdź aktualne wyniki i głosuj na:
www.polskanews.pl/nauczyciel

Każde „kocham cię, ciociu” traktuje jak najpiękniejszą nagrodę

- To niekończąca się przygoda, dzięki której mogę obserwować, jak rozwijają się dzieci - tak opisuje swoją pracę Joanna Kowalska (Przedszkole Niepubliczne Blue Bell, Konstancin-Jeziorna).

- Najwspanialsze, co może być w tej pracy, to patrzeć, jak dziecko robi postępy i uczy się nowych rzeczy - stwierdza pani Joanna. Dlaczego została nauczycielką przedszkola? - Powodem wyboru mojej pracy z dziećmi jest możliwość rozbudzania ciekawości światem. Po-



kazywanie dzieciom, jak ogromne są ich możliwości i jak wiele od najmniejszych do dużych spraw od nich zależy - wyjaśnia. Najpiękniejsze są momenty, kiedy dzieci się uśmiechają. - Zdarza się, że dzieci mówią „kocham cię, ciociu”. Myślę, że to jest największe osiągnięcie w zawodzie nauczyciela. Kiedy się wie, że dzieci cię lubią i mają do ciebie ogromne zaufanie - stwierdza. Małuchy nauczyły ją cierpliwości. - Nauczyłam się również odpowiadać na pytania dzieci z szybkością światła.

Czasem pojawiają się łzy szczęścia, bo uczniowie dali sobie radę

- Jak pomyślę o wykonywanym przeze mnie zawodzie nauczyciela/terapeuty pojawia mi się słowo „relacja” - mówi Monika Szyłka-Szumińska (Szkoła Podstawowa Specjalna nr 24, Płock).

Nie może powiedzieć, że zawsze jest łatwo i pięknie. - Często dochodzę do „ściany” i właśnie pod tą „ścianą” okazuje się, że nie jestem tam sama. Bo oprócz mnie są tam też pozostali nauczyciele pracujący w mojej klasie i są rodzice - tłumaczy pani Monika nomino-



wana w kategorii Nauczyciel klas 4-8. W pracy z uczniami z niepełnosprawnościami radość i satysfakcję czerpie z najmniejszych, często nieoczywistych rzeczy. Rozpiera ją duma, gdy uczniowie pokonują swoje ograniczenia lub gdy widzi, że sobie po prostu radzą. - Do tej pory pamiętam pierwszą komunię moich wychowanków. Pamiętam, że wróciłam do domu i nagle się rozpłakałam. Mój mąż zapytał, czy coś się stało, a ja odpowiedziałam mu „że płaczę ze szczęścia, płaczę z dumy, bo dali sobie radę”.

Już od dzieciństwa lubiła zabawę w szkołę, zawsze była nauczycielką

Ewa Serafin (Szkoła Podstawowa nr 2 im. Dąbrowki, Mińsk Mazowiecki) w tegorocznej edycji plebiscytu edukacyjnego walczy o tytuł Nauczyciela klas 0-3.

Swoją pracę traktuje jak misję, którą realizuje z pasją i poświęceniem. Jak wyglądała Jej nauczycielska ścieżka zawodowa? - Od najmłodszych lat pasjonowała mnie zabawa w szkołę. Zawsze chciałam być w niej tą panią nauczycielką. Później kilka autorytetów w szkole podstawowej wspie-



rało mnie w moich marzeniach, a na koniec nagroda Prezydenta i uznanie tylko upewniło mnie w wyborze - wspomina pani Ewa. Najwięcej radości dają Jej uśmiech dzieci, zainteresowanie lekcją i tematem, samodzielne pogłębianie tej wiedzy, wspólne przebywanie, wielka chęć dzielenia się przez uczniów swoimi problemami i tworzenie wielkiej klasowej rodzinki, pełnej radości. - Zawsze jestem dumna z małych i większych sukcesów moich podopiecznych - dodaje nauczycielka.

KOMUNIKACJA MIASTO TWIERDZI, ŻE REMONT W METRZE JEST NIEZBĘDNY. ZAMKNIĘTY JEST DWORZEC CENTRALNY

W weekend zostanie wyłączona duża część pierwszej linii metra

Jędrzej Cichocki
Warszawa

Od czwartku wieczora odcinek pierwszej linii metra między stacjami Wilanowska i Słodowiec jest nieczynny. Utrudnienia potrwać kilka dni.

Pierwsza linia metra zostanie wyłączona z ruchu na kilka dni. W tym czasie uruchomione zostaną zastępcze linie autobusowe i tramwajowe. Choć takie rozwiązanie zawsze wiąże się z pewnymi utrudnieniami i spadkiem komfortu podróży, to miejski przewoźnik tłumaczy, że prace są niezbędne.

Pociągi nie będą jeździły między stacjami Wilanowska - Słodowiec od czwartku, 13 listopada, od ok. godz. 21.30 do końca kursowania w niedzielę, 16 listopada.

Pociągi metra będą kursowały na dwóch odcinkach: Młociny - Słodowiec i Kabaty - Wilanowska. To oznacza, że aż 10 stacji zostanie zamkniętych. Chodzi o stacje: Wierzbno, Raclawicka, Pole Mokotowskie, Politechnika, Centrum, Świętokrzyska, Ratusz



FOT. FOT. ALEKSY WITWICKI

Z powodu rekontów pociągi metra nie będą jeździły między stacjami Wilanowska i Słodowiec. Służby miejskie w to miejsce uruchomiły komunikację zastępczą

Arsenał, Dw. Gdański, Plac Wilsona, Marymont.

Co jest powodem tej reorganizacji? Na kilku stacjach metra linii M1 rozpoczęła się wymiana urządzeń sterowania ruchem, podstacji energetycznej. Metro

ma zakończyć kursowanie o 21:30. Do końca kursowania - w niedzielę, 16 listopada - pociągi nie będą jeździły na trasie Wilanowska - Słodowiec. Po różnych przewiozów zastępcze autobusy i tramwaje.

Metro Warszawskie zamontuje nowoczesne urządzenia na stacjach: Centrum, Świętokrzyska, Ratusz-Arsenał, Dworzec Gdański. Wymiana ta ma podnieść niezawodność urządzeń sterowania ruchem pojaz-

dów, pozwolić na szybsze usuwanie usterek systemu w różnych lokalizacjach warszawskiej sieci metra. Dodatkowo, Zarząd Transportu Miejskiego wymieni rozdzielnicę prądu stałego na stacji Politechnika. Prace zostały tak skoordynowane, aby przerwa w ruchu podziemnej kolei była jak najkrótsza.

Wszystko jednak wskazuje, że nie skonsultowano zamknięcia z kolejarzami. W tych samych dniach zamknięta jest Warszawa Centralna a PKP PLK doradzało dojazd do centrum z Warszawy Gdańskiej właśnie metrem.

Zamiast metra w czasie remontu będzie można się poruszać komunikacją zastępczą. Na ulice wyjadą autobusy i tramwaje, kursujące codziennie od wczesnych godzin porannych do ok. godz. 2.30 w nocy. Autobusy ZM1 będą jeździć w ciągu dnia co ok. 3 minuty, a w niedzielę co ok. 4 minuty. Wiezorami przerwy wzrosną do 5-7,5 minuty.

Autobusy będą się poruszać trasą: z przystanku Metro Wilanowska 04 w Al. Niepodległości (przy stacji metra Wilanow-

ska), wzdłuż trasy linii M1 do pętli przy stacji Słodowiec.

Będą się zatrzymywać się w pobliżu stacji metra: Wierzbno, Raclawicka, Pole Mokotowskie, Politechnika, Centrum, Świętokrzyska, Ratusz-Arsenał, Dworzec Gdański, Plac Wilsona, Marymont.

Pojawią się też dodatkowe tramwaje. Tramwaje linii 61 ruszą z pętli Wyścigi ulicami: Puławska - Marszałkowska - gen. W. Andersa - A. Mickiewicza - J. Słowackiego - Marymoncka, następnie przez most Marii Skłodowskiej-Curie do pętli Winnica. Z kolei tramwaje linii 76 wyruszą z Miasteczka Wilanów do centrum (jak linia 16), następnie ulicami Marszałkowską, gen. W. Andersa, A. Mickiewicza, J. Słowackiego i Marymoncką, dalej przez most Marii Skłodowskiej-Curie do pętli Tarchomin Kościelny.

Autobusy ZM1 i tramwaje linii 61 będą kursowały także w nocy z piątku na sobotę (14/15 listopada), z soboty na niedzielę (15/16 listopada), do ok. godz. 2.30, czyli tak jak nocne kursy metra. Zawieszone zostanie tramwaj linii 14.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kosiński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet ibo.polskapress.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Nowy Modlin, tel. 604 630 556

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE, panele, 783-768-050

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 881-934-948

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ Ciągnik rolniczy C330, C360, Zetor MTZ i inne. 698282939

KUPIĘ ciągnik rolniczy URSUS, Zetor, MTZ i inne. 783964891

KUPIĘ ciągnik rolniczy Zetor, Ursus, MTZ, Farmtrac, New Holland, Case, T 25, C-360, C-360 3p, C-330, C-328 tel 603502876

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA



Polecamy →

GOL24



Wszystko o piłce

gol24.pl

Polacy chcą sprawić niespodziankę z Oranje

Bartosz Głab
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski zmierzy się dzisiaj z Holandią w przedostatnim meczu eliminacji MŚ 2026. Bialo-Czerwoni szansę na zajęcie 1. miejsca w grupie mają jedynie iluzoryczne.

Niestety, dla podopiecznych Jana Urbana, w regulaminie eliminacji jest zawarte, że przy identycznej liczbie zdobytych punktów, o kolejności w tabeli decyduje bilans bramkowy, a pod tym względem Holendrzy mają gigantyczną przewagę nad Polakami. Mimo to w stolicy ekipa prowadzona przez doświadczonego szkoleniowca będzie chciała wywieźć cenne zwycięstwo.

- Wydaje mi się, że ta różnica jest duża jakościowo. Wystarczy sobie zobaczyć, gdzie ci zawodnicy grają i tak dalej. Natomiast reprezentacja to zbiór tych najlepszych zawodników reprezentujących dany kraj, to z reguły jest jedno spotkanie na jakiś czas i później rewanżowe z danym przeciwnikiem. Ta atmosfera w reprezentacji, to jak zawodnicy się rozumieją. Jedno spotkanie, to jest możliwe, że tam, możesz sprawić niespodziankę. Patrząc globalnie na reprezentację Holandii i Polski. No nieestety tam jest dosyć duża różnica, ale ten mecz z Holandią pokazuje, że można powalczyć. Natomiast sam fakt, gdzie my jesteśmy w rankingu, gdzie oni. No to już podkreśla różnice między naszymi reprezentacjami. Ogólnie piłka nożna jest taką dyscypliną, w której te niespodzianki są możliwe i kibic czy w klubie, czy w reprezentacji zawsze wierzy w to, że nawet



Jan Urban powiedział przed piątkowym meczem, że chce zobaczyć drużynę stawiającą kolejny krok

z nie wiadomo jak mocnym przeciwnikiem można go pokonać. Jeślibym miał powiedzieć, że dzisiaj my już jesteśmy tak silni, tak mocni, że możemy w każdym meczu z Holandią grać jak równy z równym, na dzień dzisiejszy oni mają zdecydowanie większy potencjał, co nie oznacza, że my nie chcemy nawiązać z nimi równorzędnej walki i naszą strategią do meczu, naszym sposobem chcemy jak najbardziej utrudnić życie. Wydaje mi się, że oni są w 100 procentach pewni, że mają awans i jeśli tak myślą i chociaż troszeczkę nas zlekceważą, nawet niechcący, no bo często tak się dzieje, to chciał-

bym, żebyśmy to umieli wykorzystać - powiedział selekcjoner na przedmeczowej konferencji prasowej.

Selekcjoner nie chciał ujawnić, kto stanie w bramce reprezentacji Polski pod nieobecność kontuzjowanego Łukasza Skorupskiego. Najprawdopodobniej będzie to Kamil Grabara, który zagrał już raz w drużynie prowadzonej przez Jana Urbana. Ponadto pod znakiem zapytania stoją pozycje środkowego obrońcy oraz pomocnika. W pierwszym przypadku uraz wykluczył z występu Jana Bednarka. Natomiast w drugim, za kartki będzie pauzować Bartosz Slisz.

- Chcemy spróbować czegoś innego. Ta sytuacja poza tym ma miejsce w jednym spotkaniu, bo w kolejnym już będziemy mieli do dyspozycji w tym przypadku Bartka Slisza. Także nie widzę w tym problemu, a jednocześnie, jak już uważamy, to za problem. Ja staram się wykorzystać tą sytuację do czegoś innego - zaznaczył Jan Urban.

Prestżiowego meczu w stolicy nie może doczekać się Matty Cash, który we wrześniu pięknym golem dał reprezentacji Polski niespodziewany remis w Rotterdamie z Holandią. Teraz piłkarz grający na co dzień w angielskiej Premier League również marzy o wpisaniu się na listę strzelców, po raz pierwszy w Warszawie.

- To jest fantastyczna miejsce, fantastyczna atmosfera. To jest stadion, na którym jeszcze nie strzeliłem, więc to, co zrobiłem w Chorzowie, będę musiał zrobić też tutaj. Kocham Warszawę, prawdopodobnie to najwspanialszy stadion, na którym grałem - powiedział piłkarz Aston Villi.

Transmisję z meczu Polska - Holandia od godziny 20.45 będzie można obejrzeć za darmo na kanałach TVP 1 oraz TVP Sport. Spotkanie prosto z trybun stadionu PGE Narodowy skomentują znany duet: Mateusz Borek i Grzegorz Mielcarski. Studio przedmeczowe rozpocznie się już o godzinie 18.30. Poprowadzi je Jacek Kurowski, a jego gośćmi będą Tomasz Iwan, Janusz Michallik, Artur Wichniarek, Dariusz Szpakowski oraz Jakub Wawrzyniak.

W internecie mecz eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć za darmo na stronie sport.tvp.pl, a także w aplikacji TVP Sport. ©©

Inauguracja Pucharu Świata z oficjalnym debiutem w kadrze Semirunnija

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE. Dzisiaj zainaugurowany zostanie sezon 2025/26 Pucharu Świata w łyżwiarstwie szybkim. Pierwszym z pięciu przystanków cyklu będzie amerykańskie Salt Lake City.

Zawody kontrolne odbyły się na tym samym torze w Salt Lake City, na którym od piątku do niedzieli odbędzie się rywalizacja w Pucharze Świata. Polacy uzyskali dobre wyniki, m.in. Marek Kania wygrał wyścig na 500 m z rekordem Polski - 34,01s, nowy najlepszy wynik w kraju ustanowił także na 3000 m Władimir Semirunnij - 3:38,73, który w USA oficjalnie zadebiutuje w cyklu PŚ w bialo-czerwonych barwach.

Tor w Salt Lake City wyjątkowo pasuje również specjalizującemu się w rywalizacji na 500 metrów Damianowi Żurkowi.

- Lubię startować na szybkich torach. W takich warunkach można pracować stricte nad techniką, nie trzeba się skupiać

na innych aspektach. Fajną rzeczą są też przeciążenia na wirażach - wówczas czuje się różnicę w porównaniu ze startami na wolniejszych torach, gdzie czasem musimy dokładać rytmu. Za każdym razem startuję, żeby zdobywać medale. Ale jeśli nie stanę na podium w PŚ, a będzie kwalifikacja na igrzyska, to biorę to w ciemno - powiedział Żurek na stronie Polskiego Związku Łyżwiarstwa Szybkiego.

Przygotowania do rozpoczynającego się sezonu nie należały do najłatwiejszych dla jednej z liderki polskiej ekipy, Andżeliki Wójcik, która miała problemy zdrowotne i wciąż nie wróciła do najwyższej formy. - Andżelika jest zawodniczką o dużym talencie, ale borykała się z wieloma problemami zdrowotnymi, kontuzjami i cały czas to trwa, więc jej forma jest małą niewiadomą - przyznał trener polskiej kadry Roland Cieślak.

PŚ w Salt Lake City to początek walki o kwalifikację na igrzyska - zarówno indywidualną, jak i drużynową.

©©



Rosjanin Władimir Semirunnij oficjalnie zadebiutuje w polskich barwach na Pucharze Świata w Salt Lake City

Billie Jean King Cup w Gorzowie Wlkp.: Świętek wraca na polski kort

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Z Igą Świątek na czele reprezentacja Polski od piątku do niedzieli zagra w Gorzowie Wielkopolskim o awans do przyszłorocznych kwalifikacji Billie Jean King Cup.

Wiceliderka światowego rankingu tenisistek wystąpi w Polsce po dwóch latach przerwy.

Iga Świątek zdecydowała się na grę w barwach reprezentacji, mimo że ma za sobą bardzo

tensywny sezon w cyklu WTA. 24-letnia tenisistka z Raszyna wystartowała w tym roku w 19 turniejach i rozegrała 80 spotkań - najwięcej ze wszystkich tenisistek. Wygrała trzy turnieje, w tym odniosła historyczny triumf w wielkoszlemowym Wimbledonie. Najlepsza była również w Cincinnati (WTA 1000) i Seulu (WTA 500).

- To był bardzo intensywny sezon, ale cieszę się, że ostatnie mecze rozegram w rodzinnym kraju. Atmosfera na pewno będzie świetna, a wsparcie ogromne. Jestem za nie bardzo

wdzięczna, i myślę tu o całym sezonie, bo jeżdżąc po świecie, zawsze widzę bialo-czerwone flagi na trybunach. Kibice nie zawiodą. Nie mogę się też doczekać spotkania z ekipą. Na pewno damy z siebie wszystko - zapewniła Świątek.

Raszynianka wystąpi przed polską publicznością po raz pierwszy od... lipca 2023 roku, gdy wygrała turniej WTA 250 w Warszawie. Była nieobecna podczas turnieju kwalifikacyjnego Billie Jean King Cup w Radomiu w kwietniu tego roku, gdy Bialo-Czerwone nie wywal-

czyły awansu do tegorocznych finałów, które po raz pierwszy odbędą się w Chinach.

Polki, której skład uzupełniają Katarzyna Kawa, Linda Klimovicova i Martyna Kubka, rozpoczną rywalizację dzisiaj meczem z Nową Zelandią o godz. 15. W niedzielę zmierzą się z Rumunkami, też o 15. W sobotę mają dzień wolny, ale o godz. 14.30, tuż przed meczem Nowej Zelandii z Rumunią, spotkają się z kibicami na sesji autografowej.

W związku z reformą rozgrywek, polegającą na zmniejszeniu uczestników decydującego tur-

nieru z 12 do ośmiu ekip, drużyna prowadzona przez Dawida Celta musi przejść dwa etapy kwalifikacji. Pierwszym będzie właśnie turniej w Arenie Gorzów - nowoczesnej hali widowiskowo-sportowej otwartej w grudniu 2023 roku, która posiada trybuny na około pięć tysięcy miejsc. Bilety na mecze reprezentacji Polski zostały wyprzedane.

W tym samym terminie odbędą się w sumie siedem turniejów, których triumfatorce awansują do decydującej fazy eliminacji zaplanowanej na kwiecień 2026 roku. Pozostałe

14 zespołów z miejsc drugich i trzecich w tabelach zagra na wiosnę w Grupie I BJKC.

Polki zajmują 9. miejsce w rankingu Międzynarodowej Federacji Tenisa (ITF). Rumunki plasują się na 15. miejscu, a Nowozelandki są 31. W kadrze Rumunii znalazły się: Elena-Gabriela Ruse, Gabriela Lee, Elena Ruxandra Berteau, Maria Gae i Monica Niculescu. Nową Zelandię reprezentować będą trzecia w światowym rankingu deblistki Erin Routliffe, a także Vivian Yang, Jade Otway i Elyse Tse. ©©

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie – myśl Seweryna Barbaga.

ROZWIĄZANIE: IM DALEJ W LAS, TYM WIĘCEJ SKANDALU.